POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. | Dnia 21–28-go grudnia 1940r. | Rok II. Nr. 41-42

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE DLA ŻOŁNIERZY

za pośrednictwem naszego pisma przesłali

P. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Władysław Raczkiewicz

ŻYCZĘ WAM ŻOŁNIERZE, ABYŚCIE DUMNI Z NASZEGO NIEUGIĘTEGO NARODU JUŻ RYCHŁO ZANIEŚLI RYCERSKĄ CHWAŁĄ OKRYTE, ZWYCIĘSKIE WASZE SZTANDARY DO STĘSKNIONEJ ZA WAMI POLSKI.

Please Ask For
L. A. Kupferwasser

Naczelny Wódz Generał Władysław Sikorski

W DNIU WIGILIJNYM, KTÓRY ZAWSZE BYŁ W POLSCE DNIEM RADOŚCI, A DZISIAJ JEST TYLKO DNIEM NADZIEI I NIEZACHWIANEJ WIARY PRZESYŁAM WSZYSTKIM ŻOŁNIERZOM POLSKIM, WALCZĄCYM I GOTOWYM DO WALKI — NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA, ABY TE ŚWIĘTA BYŁY OSTATNIMI, JAKIE MUSIMY OBCHODZIĆ POZA GRANICAMI RZECZYPOSPOLITEJ.

WIERZĘ GŁĘBOKO, ŻE NADZIEJE NASZE SIĘ SPEŁNIĄ—I ŻYCZĘ WAM WYTRWANIA W TRUDNYCH, LECZ JAKŻEŻ ZASZCZYTNYCH OBOWIĄZKACH ŻOŁNIERZA. PRAWDA I SPRAWIEDLIWOŚĆ MUSZĄ ZWYCIĘŻYĆ I NOC BOŻEGO NARODZENIA BĘDZIE W PRZYSZŁOŚCI — JAK BYŁA PRZEZ TYLE WIEKÓW — RADOSNYM ŚWIĘTEM WOLNEGO I WIELKIEGO NARODU.

P. Przewodniczący Rady Narodowej Stanisław Mikołajczyk

ŻOŁNIERZE!

ŁAMIĄC SIĘ Z WAMI OPŁATKIEM, ŻYCZĘ WAM—W IMIENIU RADY NARODOWEJ RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ, BY ZAPOWIEDZI PANOWANIA POKOJU, MIŁOŚCI I SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓRE WAM W NOC WIGILIJNĄ PRZYNIESIE BOŻA DZIECINA ZIŚCIŁY SIĘ JAK NAJRYCHLEJ.

SZCZYT POWODZENIA SPRAWCÓW WOJNY—SIEWCÓW GWAŁTU I NIENAWIŚCI JUŻ MINĄŁ. CZEKA NAS JEDNAK JESZCZE OGROM WYSIŁKÓW.

ŻYCZĘ WAM, BYŚCIE DO TEGO MAKSYMALNEGO UDERZENIA NAJLEPIEJ SIĘ MOGLI PRZYGOTOWAĆ, BY KSZTAŁCĄC ZARÓWNO DŁOŃ, JAK I UMYSŁ, CHARAKTER I DUCHA, DOBRZE PRZETRWALI CIĘŻKI OKRES WYCZEKIWANIA.

ŻYCZĘ WAM ŻOŁNIERZE UMIEJĘTNOŚCI MIŁOWANIA PRZEŁOŻONYCH, JAK ŻYCZĘ WASZYM PRZEŁOŻONYM, BY ZAWSZE, PRZY ZACHOWANIU POTRZEBNEJ DYSCYPLINY—WIDZIELI W WAS BRACI—SZANOWALI WASZĄ GODNOŚĆ LUDZKĄ I OBYWATELSKĄ. BYŚCIE—ZŻYWSZY SIĘ—IDĄC NA DECYDUJĄCY BÓJ—JEDNĄ TWORZYLI CAŁOŚĆ—JEDNYM DUCHEM OWIANĄ — JEDNYM PRAGNIENIEM PRZEPOJONĄ.

ŻYCZĘ ARMII POLSKIEJ PEŁNEJ WIARY W ZWYCIĘSTWO I PRZEKONANIA, ŻE PO OBALENIU PANOWANIA GWAŁTU I NIENAWIŚCI—PO ZWALCZENIU WINNYCH WOJNY DYKTATUR—TAK W POLSCE—JAK I NA CAŁYM ŚWIECIE, PEŁNĄ PODSTAWĄ WSPÓŁŻYCIA—BĘDĄ CHRYSTUSOWE ZASADY POKOJU — MIŁOŚCI — WOLNOŚCI I SPRAWIEDLIWOŚCI!

Z OPŁATKIEM

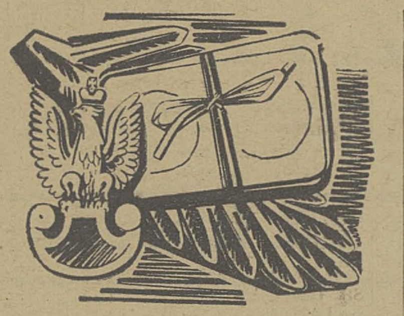

rys. Tadeusz Lipski

Przebrzmiały w kościołach naszych tęskne śpiewy adwentowe. Smutne były "Roraty" w tym roku. Rzewniej, niż kiedykolwiek, śpiewali kapłani nasi proroctwa Jezajaszowe, odnosząc do kraju własnego natchnione wizje wyzwolenia, wolności i pokoju.

Tak mówi Prorok: "Onych dni wołać będą do Pana na widok tych, co ich uciskają. I pośle im Zbawiciela i Obrońcę, który ich wybawi."

A razem z Prorokiem woła Kościół, Matka nasza: "Pośpiesz, prosimy Cię, Panie, a nie odwlekaj potężnej pomocy Swojej.",

---

Na nowo narodził się Jezus Chrystus. Wzrok Dzieciątka Bożego ogarnia świat cały, z szczególną jednak czułością spoczywa na Polsce. Na tej Polsce, co po raz pierwszy usta otwierając, zaśpiewała hymn ku czci Bogurodzicy i Jej Syna, Hospodyna. Na tej Polsce, co murem stawała, aby hańbiciele Krzyża nie przekraczali brzegów Europy, co pod Warną, Wiedniem, Warszawą mieczem pisała apologię Chrystusową, której rycerze dziś na wolnej ziemi brytyjskiej, w niemieckich więzieniach, w obozach koncentracyjnych słowem i czynem głoszą: *Gloria in excelsis Deo*!

Polsko wiary Chrystusowej, Ojczyzno nasza! Synowie i córki Twoje szukają Cię duszą w ten wieczór wigilijny.

Na Twoje łono, do Twoich gwiazd modlitwą płyniem, jak senni ptacy, co lecą spocząć wśród własnych gniazd.

Jesteśmy jedną rodziną. Nie dzielą nas morza, ni góry, ni sztuczne granice. Zanim przyjdziemy krew obmyć w Wiśle, przesyłamy Braciom w kraju Opłatek, symbol miłości i wiary. Powierzamy go anielskim rękom św. Stanisława Kostki, którego Bóg również w ciężkiej doli pocieszył Hostią świętą.

Przyjm więc, Rodaku nasz święty, bieluchny opłatek z rącząt nowonarodzonego Dzieciątka i śpiesz za Jego błogosławieństwem do Polski. Stolica Cię czeka. Ulice jej ciemne, domy w ruinach, w mięszkaniach ubóstwo i mróz. Czy wolno w niej kapłanom odprawiać Pasterkę? A może i to jest polityka, której Heród się boi? . . .

Stań, święty Bracie nasz, boć przecie jesteś Polakiem, u bram kościołów, wejdź do domów i na poddasza, dzierż wysoko wigilijny opłatek, tak, jak oni wysoko dzierżyli swój honor. Łam się w imieniu nas wszystkich tym darem niebios i mów do nich: "Wzmocnijcie ręce zemdlone, a kolana drżące umocnijcie. Nabierzcie otuchy, a nie bójcie się. Oto nasz Bóg przychodzi z pomocą, z zapłatą Boską. Bóg sam przyjdzie i zbawi was. *Gloria in excelsis Deo*."

Zstąp z Wawelu do królewskiego Krakowa, pociesz wierny nasz Lwów, łam się opłatkiem z nieugiętymi duszami Poznania, zajaśniej w Ostrej Bramie, przytul do serca spracowanych Ślązaków. Bądź aniołem Chrystusa i naszym mistycznym ambasadorem.

Przez pokryte śniegiem pola, po skrzepłej grudzie polskiej, idź w blasku gwiazd wigilijnych do dworów i chat, które mrugają przez okna światełkami choinek, w których nieśmiało odzywają się kolendy. Łam się opłatkiem z ludem naszym, zwiastuj mu wesołą nowinę, że bliskie jest jego wyzwolenie. Powiedz im, że Dzieciątko Jezus szczególnie im błogosławi za miłość i serce, okazane wygnanym rodakom. Oby wszyscy nadal byli jednym sercem i jedną duszą, oby nadal mężnie trwali i wytrwali.

Ukaż się Czcigodnym i zasłużonym Rodakom w Ameryce i razem z opłatkiem złóż im nasze podziękowanie za wszystkie dary, jakimi ulgę niosą biednym i prześladowanym.

A teraz, święty Stanisławie, zabierz opłatków moc i gotuj się do dalekiej wędrówki — ku granicom Syberii, ku stepom Turkestanu i jeszcze dalej. Tam żyją wysiedleni bracia rodzin naszych. Matka, oderwana od dzieci, rodzina bez ojca. Niech im ten opłatek święty będzie zwiastunem wolności, połączenia, powrotu. Opisz im drogę, wiodącą do Polski. Otrzyj ich łzy, uraduj ich serca. I proś Boga Nowonarodzonego, by wyprowadził pojmanych i pogrążonych, by śpieszył ku ich wyzwoleniu a nie opóźniał się.

W obozach jeńców oczekują Cię z tęsknotą, niezłomni na duchu. Gdy im zabroniono śpiewać hymn narodowy, stają po Mszy św. na baczność, w milczeniu, nucąc w duszy melodię świętą. A może natrafisz na taką właśnie chwilę osobliwą. Przerwij im to wymowne milczenie, aby razem z Tobą zaśpiewali pieśń potęgi i chwały, melodię Ojczyzny wolnej, dla której ponownie wyruszą na bój.

Lecz dla kogo zabierasz, Młodzieniaszku święty, te lśniące, złotym krzyżem znaczone opłatki? Domyślam się: Dla Poległych, w czyścu cierpiących żołnierzy. Czyż oni nie należą już do rodziny? Czy może w czyścu brewiarz kapłański niegłosi, że dziś niebiosa miodem opływają? Że zbawienie wszelkiemu okazało się stworzeniu? Jesteśmy przecież jednym ciałem mistycznym, którego głową jest Chrystus. Niech więc na opłatku dla zmarłych zajaśnieje nasza modlitwa, nasza ofiara. Ta modlitwa i ofiara, podana przez Kościół triumfujący od nas walczących dla Kościoła cierpiącego—czyż to nie obraz Świętych Obcowania?

Życie nie było by życiem, gdyby nie było wieczne, nie była by miłość nasza miłością, gdybyśmy w niej ostygli na chwilę.

A teraz wróćmy do tych tryskają życiem i zdrowien żołnierzy naszych. Może jeszcze nie tacy święci, ale Boga i Ojczyznę dają się porą na kawałki. Nie ugnie się ta Polak i nie złoży broni, jeno rąbie, co niemiara.

Dziś są jakoś sentymentalni, a niejednemu cicha łza spływa z oczu. Kompanie promieniami zdążały do świetlic, jak do magicznego koła, w którego środku wystrzeliła choinka. Opłatki, podarki, wszystko na miejscu. Słyszysz, jak śpiewają? Szkocja wstrzymuje oddech, morze szumi ciszej, nawet Eskadra 303 jest *off duty*. A ci w Egipcie już po raz drugi w tym roku obchodzą Boże Narodzenie, bo według "obrządku karpackiego" już w lipcu śpiewali kolendy w samym Betleemie.

Kochani Chłopcy! Któż bardziej od Was podobny do Dzieciątka Jezus? Nie w pałacu, lecz na sianie, nie w dostatkach, lecz w ubóstwie, w nędznej sz pie. . . .
Bóg się rodzi—moc truchleje.

Oto najgłębsza treść Wigilii 1940 r.

Bóg się rodzi—moc truchleje.

Bezdennej pysze i megalomanii cezarów przeciwstawia Bóg kwilące, bezbronne Dzieciątko betleemskie. Moc truchleje, gdyż do tej Dzieciny mówi Jej Ojciec niebieski: "Potrzesz ich laską żelazną, a jako naczynie zduńskie pokruszysz ich." I woła psalmista, jakby dzisiejsze czasy miał na myśli: "Schodzą się wielmoże ziemscy, a wodzowie radzą społem przeciwko Panu i przeciw Pomazańcowi Jego. Ale ten, który mieszka w niebie, Pan—szydzi z nich."

Radzą przeciwko prawu Bożemu, przeciwko miłości, przeciwko sprawiedliwości, przeciwko dziesięciorgu przykazań. Rozbijają mistyczne Ciało Chrystusowe. Ale ten, który jest w niebie, śmieje się. Subtelny jest ten śmiech Boży, jak wówczas, gdy knowania Heroda zniweczył, Neronów poskromił, Attylę powstrzymał, nawały Wschodu rozproszył.

Zaiste, różni się oręż Boży od broni dyktatorów. Dyktator sam przyznaje, że jedno tylko życie ma do dyspozycji i śpiesznie działać musi, Syn Boży jest wieczny. A żołnierz polski Jego jest rycerzem. Dla wolności ginie, wiary swej nie minie. To też ma prawo modlić się słowami Pisma św.: "Skrusz, Panie, głowę wodzów nieprzyjacielskich, mówiących: Nikt nie ma prawa istnieć obok nas." "Dotknij się tylko, Boże, tych szczytów, a spłoną z dymem." "Rozprósz narody, które pragną wojny." "Powstańże, Panie, i sądź sprawę Swoją."

Bóg się rodzi—moc truchleje.

Nie przekuły jeszcze narody mieczy swoich na lemiesze, a włóczni na sierpy. Lecz właśnie Polska, wywalczywszy przy Twej pomocy wolność, pragnie być ostoją pokoju Chrystusowego w królestwie Twoim, ażeby na przyszłość naród już nie podnosił miecza przeciwko narodowi." Tyś Panem świata, Jezusie Chryste, Ty jeden, a nie cezarowie.

Chrystus, nie cezar. Bóg się rodzi—moc truchleje.

Zmiłuj się więc nad Polską Twoją!
Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie, wspieraj jej siły Swą siłą,
Dom nasz i majętność całą i wszystkie wioski z miastami,
A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.

X. Józef Gawlina,
Biskup Polowy Wojsk Polskich

* BOŻE NARODZENIE 1940 *

Szła Niewiasta z Dziecięciem i z Starym Człowiekiem.
Napotkał Ich zły człowiek i "Halt!" im zawołał.
Lecz Niewieście majestat taki błyskał z czoła,
że zły, zaskowytawszy nie-człowieczym szczekiem,
padł na twarz, zakrył oczy i wwiercił się w ziemię,
i błoto zakrwawione z pod niego bluznęło.

A Najświętsza Rodzina powietrzem płynęła
ponad drogi skopane, nad spalone brogi
i nad krzyże wojenne, sznurami długimi
znaczące się po polach. . . .

Była to godzina
przedwieczorna, gdy zachód mroźno różowieje,
gdy powiew się ucisza i świat przypomina
niedopełnione śluby, niezbyte nadzieje.

Zastukał Stary Człowiek posochem do chaty
przydrożnej, samej jednej i jak by spłoszonej
tym, że tak się ostała. . . .
W koło były zgliszcza.
Widząc, że szczątek szyby w okienku się błyszczy,
rzekł Niewieście:
—Maryo, nocleg nie bogaty,
lecz cóż Wam znaleść mogę w spustoszonym kraju? . . .

Drzwi się otwarły—weszli. . . .
I znaleźli w chacie
na ławie trupek dziecka, uwinięty w szmacie,
i nic więcej—i tylko sprzęty połamane. . . .

Więc Marya się ręką oparła o ścianę,
bo Ją ten widok przejął lękiem i rozpaczą,
i spytała:
—Józefie, co to wszystko znaczy?
A on popatrzył smutnie i powiedział:
—Wojna. . . .

Wtym Najświętsza Dziecina, dotychczas spokojna,
podjęła rączki w górę i wybuchła płaczem,
a płacz ten tyle żalu mieścił i boleści,
jako te łzy w Ogrójcu, w lat przeszło trzydzieści.

I poszli do stajenki, bo się bali ludzi. . . .

I dopiero świat wtedy jak by się rozbudził:
brzmiały jakoweś chóry, szli w noc pastuszkowie,
Trzem Królom zaświeciła gwiazda betleemska. . . .

Lecz Im w oczach pozostał obraz ludzkiej klęski,
i ten trupek dziecięcy, i tych krzyżów krocie.

I ten obraz miał w oczach Chrystus na Golgocie.

Antoni Bogusławski

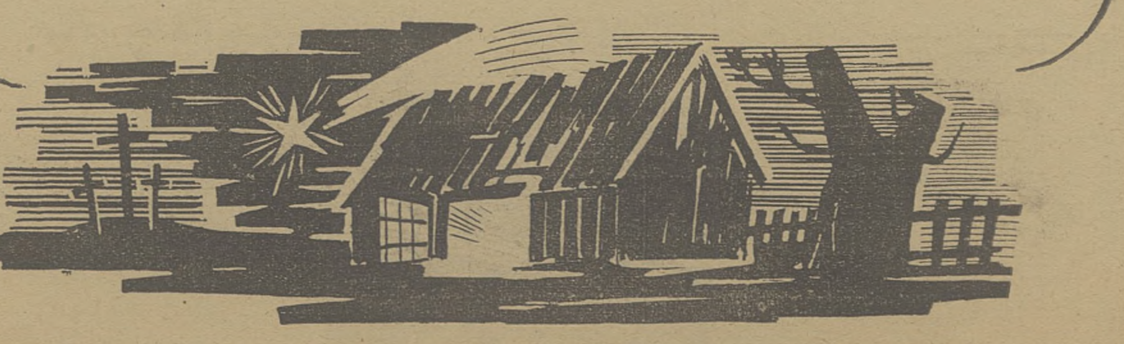

zdobił Stefan Osiecki

Walka o nowego człowieka

ALBO IMPERIUM-ALBO UPADEK

Spojrzenie na mapę ujawnia nam sieć dróg morskich tak gęstą, że stanowi ona jakby gościniec łączący Anglię z całym światem. Gdy podniesiemy oczy w górę ujrzymy podobną sieć złożoną z dróg, jakimi ponad morzami lecą statki powietrzne, zaś głębie mórz zakrywają nam sieć trzecią, po której posuwają się statki podwodne. To wszystko razem związało wyspę angielską z lądem stałym świata, a więź ta z rosnącym postępem techniki będzie co raz silniejsza i co raz doskonalsza, nie mniej niż połączenia lądowe. Czyż bowiem nie łatwiej dzisiaj przepłynąć, czy przelecieć z Anglii do Ameryki, jak jakieś 100 lat temu przejechać z Londynu do Glasgowa?

O odgrodzeniu się dziś od świata nie ma już mowy. "*Splendid isolation*" (wspaniałe odosobnienie) jest snem przeszłości. Tym bardziej nie może Anglia odgrodzić się od Europy, bo tu drogi krótsze i dostęp łatwiejszy. Dziwić się tylko należy, że ta bijąca w oczy rzeczywistość nie jest jeszcze dla wszystkich dość widoczna i można jeszcze spotkać się z głosami, niewątpliwie odosobnionymi, że Anglia po wojnie powinna się odgrodzić od Europy i jej spraw, a zająć się tylko swoim imperium. Głosy te nie są groźne, bo gdyby nawet Anglia chciała to uczynić, jednak uczynić tego nie będzie mogła, jeśli bowiem nie zajmie się Europą, to jakiś nowy Hitler zajmie się Anglią.

Zrozumienie tego ścisłego związku między lądami, mimo pozornego rozdziału morzami jest tak powszechne, że dotarło ono do Ameryki. Wspaniały Prezydent Stanów Zjednoczonych łączy sprawę Ameryki ze sprawą Anglii nie tyle z powodu pokrewieństwa rasowego obu tych krajów, ale dlatego, że opanowanie Anglii jest zarazem opanowaniem dróg wiodących do Ameryki, jest położeniem ręki niemieckiej na gościńcach świata. Słowem Anglia nie może się oddzielić od Europy, bo zduszenie jej przez połączone złe siły Europy niemieckiej byłoby groźną możliwością. Anglia musi być związana z Europą i resztą świata. To jest ciężar narzucony przez jej położenie i to jest jej zadanie historyczne, aby ten ciężar uniosła.

Na tym zresztą polega wielkość Anglii. A wielkość nakłada wielkie obowiązki, i obowiązki te Anglia spełnić musi, jeśli ma istnieć. Anglia bowiem może być tylko albo imperium albo wyspą. A że sama wyspa się nie obroni, więc byłaby zduszona w krótkim czasie. Zatym musi być imperium, ale nie jest ono do pomyślenia bez Europy, jak zresztą i Europa bez Anglii. Ileż sił zaoszczędziłby Hitler, gdyby nie potrzebował podbijać Europy. Kraje Europy bez oparcia o Anglię szłyby jeden po drugim pod jarzmo, a po tym ze zjednoczoną Europą, bez naruszenia swych sił i zasobów, Niemcy runęłyby na Anglię. Więc musi być Anglia w Europie w interesie własnym, w interesie krajów Europy i w interesie świata.

DOKTRYNY I LUDZIE

Między błędami Traktatu Wersalskiego były dwa, które nas w naszych rozważaniach zajmują.

Pierwszym było stanowisko Anglii. Pełnomocnicy jej uważali się za arbitrów Europy, sprawy Kontynentu uważali za sprawy obce. Wspólność w walce—rozluźniła się zupełnie w pokoju. Stara zasada utrzymania "*balance of power*" (równowagi sił) na kontynencie miała zastąpić współdziałanie Anglii z kontynentem. Była to próba oddzielenia się od Europy. Tymczasem równowaga sił nie utrzymała się tak, jak ją pojmowali Anglicy. Wzmocnienie Niemiec w obawie przed siłą Francji poszło za daleko—"*balance of power*" została zwichnięta. Wzmocnione Niemcy uderzyły na Francję a po tym na Anglię. Pozostawienie Europy jej własnemu losowi okazało się dla Anglii niebezpieczne. Wojna w 1939 roku była drugim ostrzeżeniem dla Anglii—tym razem już bardzo wyraźnym, że nie może pozostać za Europą. Wróciły czasy z przed wieków, kiedy Anglia była złączona z kontynentem, kiedy Tamiza wpadała do Renu.

Drugim błędem było hasło samostanowienia narodów. Różne cele kryły się za tym hasłem, zasadniczo jednak dzielono Europę mniej więcej według tego hasła. Nigdy jednak jedno lekarstwo nie uratuje chorego. Przyczyny choroby europejskiej były tak liczne i tak z różnych źródeł pochodzące, że leczenie ich jednym, nowo wynalezionym środkiem przypominało — znachora. Trzech ludzi z konferencji pokojowej wzięło do jednej ręki nożyczki, do drugiej mapę Europy i zaczęło robić wycinanki według kolorów jakimi mapy oznaczały różne ludy. Nikt nie brał pod uwagę, czy dany kraj sam się utrzyma, czy się sam obroni, czy w ogóle chce być sam, lecz kazano być samodzielnymi Łotwie, Estonii, Litwie, a tych, których pytano, czyniono to w sposób, który odpowiedź przesądzał — jąk to było na Śląsku.

Polskie granice ukształtowano tak, że utrzymanie ich wobec sąsiadów było — niemożliwością, ale łudzono się, że przynajmniej uratowano doktrynę. Wynikiem tego było, że przy pierwszej katastrofie — doktryna została obalona. Nie można bowiem mechanicznie tworzyć ani narodów, ani państw. Nie można wyrwać jednego z całokształtu warunków, jakie składają się na państwo i na naród i na nim budować. A przede wszystkim nie można zapominać o jednej najważniejszej i istotnej podstawie bytu zbiorowego, a jest nią—człowiek.

WIDMA PRZYSZŁOŚCI

Wszystko na to wskazuje, że będzie on i teraz zapomniany. Co raz częstsze się słyszy głosy, doradzające przyszłym budowniczym Europy, że nie granice będą decydujące, ale czynniki gospodarcze. I znowu wyrywa się jedną funkcję człowieka, jedną jego potrzebę i na niej chce się oprzeć świat. Lecz tak jak po tamtej wojnie, zawiodły momenty geograficzne—tak po tej zawiodą momenty gospodarcze. Istota ludzka składa się bowiem nie tylko z żołądka, a i żołądki ludzie mają niejednakowe.

Trwałe podstawy bytu narodów i państw są w dziedzinie ich wartości moralnych. Można ułożyć bardzo piękne menu gospodarcze, ale jeśli ktoś będzie stał nad człowiekiem z batem, to nawet do pełnej misy nikt nie pójdzie z ochotą. W człowieku są ważniejsze wartości, a najważniejszą jest wolność—wolność w tym najlepszym słowa znaczeniu: to jest wolność "Nasza i Wasza." I ci, co przyszłość Europy kształtować będą muszą zrozumieć, że warunki polityczne, gospodarcze i t.p.—nie istnieją w oderwaniu od człowieka, lecz są jego wytworem i są takie, jakim jest człowiek. Fin nie jest tym samym co Moskal, Grek nie jest podobny do Włocha, a Niemiec nie może się równać z Anglikiem. Demokracja francuska nie jest demokracją angielską, mimo tożsamości słowa, liberalizm gospodarczy Anglii nie może być przeniesiony do Rumunii; komunizm pierwszych chrześcijan nie jest tym samym, co komunizm sowietów—prócz jednej wspólnej cechy—nędzy, gdyż tylko komunizm nędzy jest możliwy. Dlatego trzeba zacząć pracę nie od skutków, ale od przyczyny.

TRZEBA WYCHOWAĆ CZŁOWIEKA

Nie nowy porządek jest potrzebny, ale nowy człowiek. Jednakże wychowanie człowieka nie jest rzeczą łatwą. Dwa tysiące lat blisko męczy się chrześcijaństwo umoralnianiem ludzi i wysiłki nie są olśniewające. Jednakże nie wynaleziono dotąd żadnych lepszych zasad moralnych od zasad chrześcijańskich. Ciągle jednak są one ideałem, do którego dążyć należy—ale wiadomo, że tylko dążąc do rzeczy niemożliwych osiągamy możliwe.

Byłoby zbytnim optymizmem przypuszczać, że samym słowem Bożym uda się ludzkość do zasad chrześcijańskich nawrócić. Niestety trzeba sankcji. Kodeks moralny będzie potrzebował kodeksu karnego. Muszą być państwa ukształtowane według wartości, jaką ich mieszkańcy okazali. Państwa zaborcze muszą być pozbawione możności rabunku i zaboru. Granice ich tak określone, aby im uniemożliwić zbrojne wypady, a sąsiadom w razie tych wypadów ułatwić obronę.

Słusznie powiedział generał Sikorski, "że nie będziemy zemsty szukać, ale trzeba w interesie moralności zrobić to, co się robi z każdym przestępcą—uniemożliwić mu dalsze zbrodnie, a za dokonaną ukarać — żądaniem zadośćuczynienia."

Inną grupę państw będą stanowić te, które nie chciały przeciwstawić się napaści, lecz czy to ze strachu, czy z wygody, czy też że nie chciały wyczerpywać swych bogatych zasobów materialnych—poszły w niewolę. Nad tymi państwami należy roztoczyć opiekę, należy je "protegować," aby się ich niewola nie powtórzyła. Były one bowiem jednym ze źródeł decyzji Hitlera uderzenia na świat i jednym z powodów jego powodzeń.

Inaczej znowu muszą być urządzone państwa, które chciały walczyć i walczyły do wyczerpania wszystkich swoich sił. Nie trzeba wielkiej domyślności, aby wiedzieć, że chodzi nam przede wszystkim o Polskę. Polska stwierdziła, że chce walczyć o wolność do ostatka swoich sił. Chciał tego cały naród i każdy z jego żołnierzy. Walczył żołnierz wbrew nadziei zwycięstwa, stwierdzając, że woli śmierć nad niewolę. I gdyby nam były dane materialne możliwości—i tylko materialne to jest broń, lub środki pieniężne na broń, to dziś wkład ten opłaciłby się tym państwom, które liczyły się z groszem dla nas, a za to po tym zapłaciły i płacą tak niewspółmierny haracz.

Okazało się, że w środku Europy jest naród zdolny do poświęceń za te sprawy, o które teraz walczy Anglia, że ten naród mógłby był tak poszczerbić Niemcy—choćby nawet przegrał—iż niemożliwym było by uderzenie Niemiec na świat. Że prócz tego narodu nie ma innego, któremu można by powierzyć *obronę* skarbów cywilizacji chrześcijańskiej, której już wieki całe bronił przed zalewem azjatyckim aż do roku 1920 włącznie, że więc temu narodowi trzeba dać takie możliwości, aby mógł w całej pełni rozwinąć swe siły moralne i materialne do obrony świata przed niewolą niemiecką i sowiecką.

ANGLIA TRZYMA STRAŻ

Aby takie urządzenie Europy rasie anglosaskiej się udało i było trwałe—Anglia musi być stróżem tego porządku. Wymagają tego jej potrzeby, wymagają tego zagrożone narody Europy.

Legitymację do tego zdobyła tym, że na placu boju o wolność świata pozostała sama, że postanowiła również jak Polska poświęcić wszystko, aby zwyciężyć, a jeśli zwyciężyła, to nie po to, aby Europę zostawić w chaosie i w przygotowaniach do nowej wojny, ale aby stać na straży porządku, opartego na prawie i wolności.

Aby zaś swe historyczne zadanie spełnić mogła będzie oparta nad Wisłą o potężny klin wbity między dwa totalizmy, a imię jego będzie—POLSKA.

St. Sz.

WRÓCIMY LEPSI

Znowu Boże Narodzenie i jeszcze dalej od Polski, niż w roku zeszłym.

Odkąd przekroczyliśmy granicę polską, różne inne granice zaczęły się za nami zamykać, jak nieważne furtki, które by za sobą zostawiał człowiek, śpieszący do utęsknionego celu. Nikt się za nimi nie oglądał, nikt ich długo wspominać nie będzie. Osobliwością naszej podróży jest, że oddalając się od Polski w przestrzeni, zbliżamy się do niej w czasie. Myśmy różne granice przekraczali, ale i nieszczęście Polski przekraczało wszelkie granice i wraz z nami zdąża ku kresowi wędrówki.

Czas upłynął ciężki dla tych, którzy tęsknią, ale ten sam czas przybliżył spotkanie.

Każdy z nas żyje nadzieją powrotu. We śnie i na jawie powrót nam się śni. Takim już dziwnym jesteśmy narodem, że żadna zagraniczna wspaniałość nie może nam wyrównać piękna rosochatej wierzby czy gruszy na rodzinnym zagonie. Polak z zadartym nosem przejdzie koło cudów świata, mrucząc: "a cóż to w Pikutkowie nie ładnie?"—i chóry anielskie nie odciągną go od kolend w parafialnym kościele.

My nie bijemy się o Ojczyznę z obowiązku—bijemy się z miłości. Bo nigdzie nie umiemy być szczęśliwi, tylko w Polsce. Nawet wychodźca, nędzą czy włóczęgowskim duchem w cudze kraje zagnany, o tyle tylko do nowego życia się nagnie, o ile zdoła sobie na obczyźnie Polskę gospodarskim sposobem uklecić—z barszczem, z razowcem, z opłatkiem na wilię i z jakąś drzewiną za oknem, udającą Kujawy, czy Mszanę.

Pokazuje się wszelako, że miłość jest niezgorszą bronią, skoro im wojna dłuższa, tym sława polskiego żołnierza głośniejsza.

I wybije wreszcie ta godzina świąteczna, kiedy wolno nam będzie spocząć—duchem i ciałem—na tym progu, na którym myśli nasze każdej chwili warują.

Na tę godzinę za wczasu szykujmy gościńce.

Ci, co nas oczekują, gorsze od naszych przechodzą katusze. Czymże jest obozowa nuda, emigranckie swary, nieznajome niebo nad głową, czym rany i śmierć zawczesna w porównaniu z ponurością niewoli?

W Anglii, jeżeli Polak napiętnowany chodzi, to piętnem Polski chwalebnej: Orłem Białym, albo słowem "Poland," które budzi życzliwość przechodnia. Tutaj, w cudzym kraju, Polak jest bratem, miłym gościem, towarzyszem broni.

W naszym własnym kraju, tak własnym, że każdy kołek w płocie polskość wyobraża—rozpierają się gwałciciele granic, traktatów, czci ludzkiej i Boskiego prawa; oni to prawowitym gospodarzom naszywają łaty parjasów, spychają ich do drugiej klasy człowieczeństwa, wzbraniają nauki, pieśni, modlitwy.

Wiadomo, że Polak cierpliwie potrafi znosić głód, ale wiadomo, że obelga gorsza jest dla Polaka od śmierci. Nasi bliscy w Kraju znoszą obelgi. Zamknięci w milczeniu, w dumie, w słuszności swojej sprawy—niezmordowanie wiążą rozpierzchłe wątki codzienności, chowają dzieci, orzą pola, krzyżują plany wroga, podtrzymują domy, aby Polska ostała się do tego dnia, kiedy zwycięstwo wróci do spalonej Warszawy, do zgłodniałych wiosek, a wraz z nim wróci wojsko polskie.

To wojsko przyniesie Krajowi wolność.

Ale co każdy z nas, wojskowych czy cywilów, przyniesie swoim bliskim z dalekich zagranic, z czyśćowych czasów na pierwszą gwiazdkę powojenną?

Ten dar musi każdy z nas już dziś szykować, już dziś go ciepłem serca ogrzewać, światłem mózgu objaśniać.

Politycy, prawodawcy, społecznicy zatroszczą się—gorzką nauką doświadczeni—o lepszą dolę społeczeństwa, mądrzejszą budowę państwa, o bezpieczniejszy byt narodu.

Ale kto się zatroszczy o trochę słodyczy w życiu matek, sióstr, żon?

Kto pomyśli o spokoju na stare lata dla ojców steranych, o braterstwie dla wiernych braci, o pogodzie dla schorowanych przyjaciół?

Wspomnijmy dawne błogie nasze życie w wolnej Ojczyźnie.

Czy nasi bliscy zawsze byli z nami szczęśliwi?

Czy umieliśmy cenić miłość, przyjaźń, pokój?

Czy nikt przez nas po nocach nie płakał?

Wspomnijmy stare grzechy i pod Betlejemską gwiazdą, która wzejdzie dla nas tym razem nad Wielką Brytanią, powiedzmy sobie:

Wrócimy lepsi.

Do tych, którzy zostali, bez których nie mielibyśmy dokąd dążyć, za co się bić, o czym marzyć—do tych Niezwyciężonych powrócimy lepsi.

Nie pomoże trud ideowca, bohaterstwo wodza, krew żołnierza zręczność polityka, jeżeli syn matce, brat bratu, mąż żonie, przyjaciel przyjacielowi nie zdoła być najlepszym człowiekiem.

Ze szczęścia jednostek tworzy się szczęście narodów.

A szczęście ludzkie jest w mocy człowieka.

Maria Kuncewiczowa

rys. Tadeusz Lipski

Polacy w Ziemi Świętej

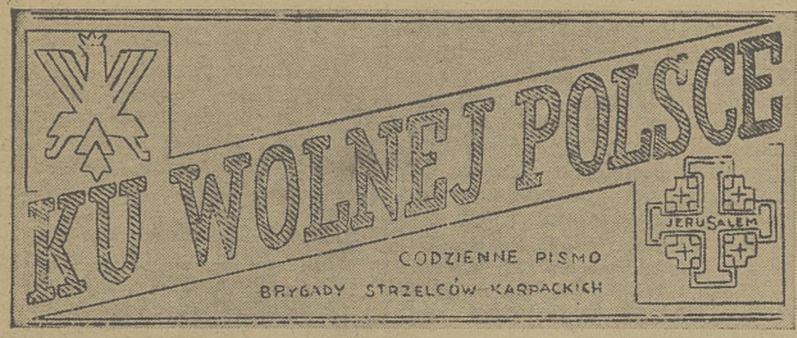

Losy wojny rzuciły na daleki Wschód, do Syrii i Palestyny polską Brygadę Karpacką. Poczta chodząca dziwnymi, dalekimi, a długimi drogami, rzuciła niedawno przed moje oczy kilka numerów polskich pism żołnierskich, wychodzących w Palestynie. Wzruszenie głębokie ogarnęło mnie, gdym dotykał tych kart prostych pism żołnierskich, z których wiał jednak patos wielkich wydarzeń historycznych. Drukowany w poprzednim numerze "Polski Walczącej" piękny artykuł Zbigniewa Schröder-Gąsiorowskiego dowodnie świadczy, że żołnierze Brygady Karpackiej mają pełne poczucie wielkości swej misji dziejowej, że wyczuwają doskonale, iż los każe im wypełniać nową, jakże egzotyczną kartę z dziejów pielgrzymstwa i tułactwa polskiego. Czują się oni nowym ogniwem w dalekich wędrówkach Polaków do Ziemi Świętej, Syrii i Egiptu.

UDZIAŁ W KRUCJATACH

Zaczęły się te wędrówki w wiekach średnich. Wyprawy Krzyżowców budziły w głęboko katolickiej Polsce silne a przyjazne echo. Najwybitniejszy historyk tego czasu Długosz notuje pod r. 1147, że pochód wojsk krzyżowych Konrada rzymskiego wywołał wielkie poruszenie w Polsce, że "z pomiędzy panów i rycerzy polskich, niektórzy dobrowolnie podjąwszy Krzyż na tę wyprawę popłynęli wraz z cesarzem, służyli w jego wojsku, dopóki on w Ziemi Świętej wojował." W XIII-ym w. Polacy biorą udział w wyprawie krzyżowej króla węgierskiego Andrzeja. Co raz więcej notują źródła historyczne w XII-ym i XIV-ym wieku nazwisk Polaków, ciągnących do walki o wyzwolenie Ziemi Świętej z pod ucisku tureckiego.

Prawda historyczna każe jednak przyznać, że ogółem biorąc ilość uczestników—Polaków w wyprawach krzyżowych była w porównaniu z wkładem narodów zachodnio-europejskich nie duża. Wielka odległość, a jeszcze bardziej wzgląd, że Polska w najbliższym swym sąsiedztwie miała do spełnienia wielkie posłannictwo chrystianizacji sąsiednich ludów pogańskich sprawił, że nawet papieże sami zwalniali rycerstwo polskie od obowiązku uczestnictwa w wyprawach krzyżowych, uważając pracę misyjną Polski wobec pogańskich Jadźwingów czy Litwy za cenny równoważnik ewentualnego udziału w krucjatach.

PIELGRZYMI I TURYŚCI

Wiek XVI-y, wiek rozbudzonego życia religijnego w Polsce, wiek wypełniony walkami katolicyzmu z reformacją, doba, w której rodziło się obce dotąd naturze polskiej, wyjąwszy świętych polskich wieków średnich, rozżarzenie, egzaltacja, i pierwsze podmuchy mistyki religijnej—wiek ten wyrzucił na dalekim wschodzie całą gromadę pielgrzymów polskich do Grobu Zbawiciela. Był to prawdziwy złoty wiek pielgrzymek polskich do Ziemi Świętej. Pielgrzymowali dostojnicy kościelni z arcybiskupem gnieźnieńskim Janem Łaskim na czele. Pielgrzymowali skromni mnisi i księża świeccy, z pośród których brat Anzelm, Bernardyn, pozostawił pierwszy polski opis Ziemi Świętej.

Okładka jednodniówki wydanej przez żołnierzy Brygady Karpackiej

Równocześnie zaczyna się długi ciąg pielgrzymek świeckich: magnaci i szlachta, gnani ciekawością świata i silniej jeszcze może wzmożoną falą uczucia religijnego, podejmują długą, uciążliwą, nawet niekiedy niebezpieczną wędrówkę do Grobu Świętego. "Peregrynacja" Radziwiłła Sierotki z r. 1575, najlepszy okaz polskiego piśmiennictwa podróżniczego, przyczyniła się ogromnie do rozszerzenia wiadomości o Ziemi Świętej i Egipcie w Polsce. Radziwiłł widział bardzo wiele, zwiedził Syrię, Palestynę, dłuższy czas przebył w Egipcie, był na Cyprze, na Krecie. Bystry, inteligentny, miał szeroko otwarte oczy na rzeczywistość społeczną i przyrodniczą nowo poznanego, a jakże obcego mu i dalekiego świata Wschodu. Inteligentny turysta, piszący stylem potoczystym a barwnym, stworzył z "Peregrynacji" jedno z ważniejszych dzieł polskiej prozy XVI-go wieku.

W porównaniu z wiekiem XVI-ym następny wiek przynosi raczej osłabienie ruchu pątniczego, i w parze, tym idące osłabienie literatury podróżniczej. Pobożność polska XVII-go wieku znajduje zaspokojenie raczej w pielgrzymkach do Częstochowy, Kalwarii Zebrzydowskiej, do nowych miejsc pielgrzymek na Pomorzu, stworzonych przez Wejena, do Jerozolimy ciągnie znacznie mniej. I w literaturze podróżniczej tego czasu widać obniżenie lotu. I w XVIII-ym wieku widzimy stosunkowo niewielką ilość pielgrzymów, głównie z pośród zakonników.

Palestyna była dla Polski szlacheckiej świętą ziemią cudów, Egipt był natomiast krajem egzotyki, krajem dziwów dalekich, nieznanych, niemal legendarnych. Pierwszym turystą polskim, który zwiedził Egipt był hr. Jan Potocki. Jego książeczka podróżnicza jest ciekawa jako dokument podróży odbytej bezpośrednio przed otwarciem Egiptu dla Europejczyków, które wywalczył Napoleon Bonaparte.

Z NAPOLEONEM

Z wyprawą Bonapartego do Egiptu wiąże się nazwisko Józefa Sułkowskiego, które otwiera nową dotąd nieznaną kartę pielgrzymstwa polskiego na Bliskim Wschodzie: kartę wysiłku, trudu i znoju polskiego żołnierza. Sułkowski, oficer sztabu Napoleona, uwieczniony w literaturze polskiej wspaniałym dramatem Żeromskiego,—był jednym z najbliższych współpracowników Napoleona, układał razem z nim plan wyprawy egipskiej. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że Egipt jest drogą do Indii, że jest kluczem całego Wschodu, widział w marzeniach swoich przyszłość wspaniałą Egiptu, jako zwornika handlu idącego przez Morze Czerwone w Śródziemne. Sułkowski bierze udział w zdobyciu Aleksandrii, Kairu. Pracuje naukowo w Instytucie Egipskim. Pozostawił on w języku francuskim zredagowany opis wyprawy egipskiej, który jest doskonałym zarysem geografii i ustroju Egiptu. Ginie tragicznie w walkach z Arabami. W śmierci tego młodego oficera, który krył w sobie nieujawnione wielkie możliwości, który okazywał lwi pazur geniusza było coś niezwykle bolesnego, tragicznego. Przeszedł przez życie jak meteor, pozostawiając po sobie uczucie czegoś niedopełnionego a wielkiego.

Wiek XIX-y odsłania nowe karty polskiego pielgrzymstwa na dalekim Wschodzie. Kolejno przesuwają się przed naszymi oczami uczeni-orientaliści, poeci i wojskowi. Żołnierze po upadku państwa z zapałem i z zaciętym uporem szukają wszędzie możliwości walki z zaborcą.

W POSZUKIWANIU WALKI

Do dziejów wojska polskiego należy wyprawa generała Dembińskiego do Egiptu i Syrii. W r. 1833-im wybucha wojna egipsko-turecka, która w świadomości opinii europejskiej przedstawia się jako zręcznie przez Rosję podniecana dywersja Egiptu przeciwko Turcji. Odezwa Dembińskiego do Polaków wzywająca do wstępowania do służby obcej jakże jest niezmiernie charakterystyczna jako wyraz nastrojów emigracji polskiej: "Już nieszczęśliwy Polak, po zbrodniczym rozszarpaniu Ojczyzny, szukał jej walcząc za odległymi morzami, już wszystkie krańce świata widziały Polaków walczących dla wskrzeszenia Ojczyzny; jeszcze jedna została kraina, która nie pokrywa dotąd zwłok Polaków z orężem w ręku poległych walcząc z Polski wrogami, a tym krajem są mniej uprawne góry Azji, a za tymi spiekłe Arabii płaszczyzny; do nich pośpieszam." Ks. Adam Czartoryski popierał gorąco akcję Dembińskiego, która zresztą z powodów politycznych nie dała donioślejszego wyniku.

Po upadku powstania listopadowego wielu żołnierzy polskich udaje się na daleki Wschód, wciągając się w obcą służbę egipską lub turecką. Egipt, który się europeizuje chętnie wciąga Polaków do swej służby. Tak samo i w Syrii w służbie tureckiej po upadku powstania węgierskiego w r. 1848-ym duża grupa oficerów polskich z gen. Józefem Bemem na czele ofiarowuje swoje usługi Wysokiej Porcie w przekonaniu, że na tym tle dojdzie do utworzenia prądu antyrosyjskiego. Gen. Bem decyduje się nawet na przyjęcie islamu.

PRACA CYWILIZACYJNA

Wysiłek Bema, jak i poprzedni wysiłek Dembińskiego, nie doprowadził niestety do powstania zawiązków polskiej siły zbrojnej na Bliskim Wschodzie. Natomiast w dziejach kulturalnych tego dalekiego kraju, trwale zapisali się wygnańcy polscy.

Jako lekarze, instruktorowie, inżynierowie, wszędzie od Bosforu do Zatoki Perskiej pozostawili oni po sobie kapitał pracy i dorobku. Oni przeprowadzali pierwsze drogi bite w Anatolii, czynni byli przy zakładaniu linii telegraficznych od Damaszku i Bagdadu, kolei żelaznej od Smyrny. Oni dokonywali planów oczyszczania bagnisk pobojowiska pod Issus, współdziałali w eksploatacji kopalń srebra w Kurdystanie.. W Syrii przeprowadzili pierwsi bitą drogę przez bezdrożny Liban. Pozostawili po sobie pamięć szlachetnego poświęcenia jako lekarze w czasie częstych na Wschodzie epidemii. Popierali wszelkie zamysły wielkiej cywilizacyjnej doniosłości, jak np. projekt angielski bezpośredniego połączenia koleją Morza Śródziemnego z Zatoką Perską, a więc Europy z Indiami. Pracowali przy budowie kanału Sueskiego.

Pielgrzymstwo polskie z drugiej połowy XIX-go wieku przybiera charakter zjawiska masowego, zorganizowanego. Obejmuje co raz silniej chłopów, którzy pod przewodnictwem księży zwiedzają Ziemię Świętą. W latach bezpośrednio przed wojną światową pielgrzymki takie dochodziły do kilkuset osób.

Koniec wojny światowej przyniósł nowe ukształtowanie stosunków w tych krajach. Egipt stał się niezalalełnym państwem, Palestyna przeszła w zarząd angielski, Syria była francuskim krajem mandatowym. Palestyna zaczęła się stawać krajem, do którego co raz liczniej odpływał element żydowski przeludnionej Polski.

NOWY ROZDZIAŁ

Jan St. Bystroń, który tym polskim pielgrzymkom do Ziemi Świętej, Syrii i Egiptu poświęcił pokaźny tom, kończąc swą książkę jakby wiedziony trafnym przeczuciem napisał jakże przewidująco: "w naszych oczach zaczyna życie układać tom następny, którego treści najbieglejszy historyk nie jest w stanie przewidzieć."

Rzeczywiście, któż mógł przewidzieć, że losy każą żołnierzowi polskiemu, który w Syrii sformował Brygadę Karpacką, obecnie w Palestynie czekać na chwilę starcia z wrogiem? Kilka komunikatów prasowych, kilka numerów codziennego pisma "Ku wolnej Polsce," wydawanego przez referat oświatowy Brygady Strzelców Karpackich i jednodniówka wydana dla upamiętnienia rocznicy 15 sierpnia, jakie przypadkowo dotarły do naszych rąk, nie pozwalają na bogate i udokumentowane zobrazowanie nastrojów żołnierzy polskich na Bliskim Wschodzie. Już jednak na podstawie tego skąpego materiału, jaki w tej chwili mamy do rozporządzenia, można stwierdzić kilka faktów z bezwzględną oczywistością.

Generał Józef Sułkowski

Najpierw sam fakt montowania pisma polskiego na Dalekim Wschodzie, sama okoliczność, że w Palestynie wysiłkiem polskiego żołnierza pojawia się polskie słowo drukowane—ten fakt może napawać nas dumą jako przejaw naszego talentu organizacyjnego. Wroga propaganda Goebbelsa wmawia w kraj, że jesteśmy pozbawieni zdolności organizacyjnych, tymczasem czyż fakt, że gdziekolwiek znajdzie się grupa polskiego żołnierza, czy w Anglii, czy w Palestynie, czy w obozie internowanych w Szwajcarii, tam zaraz zjawia się głód słowa i książki polskiej, zaraz powstają pisma żołnierskie,—czyż fakt ten nie jest najlepszym zaprzeczeniem kłamstw niemieckiej propagandy? Zarazem jakim jest on radosnym objawem prężności, dynamizmu organizacyjnego Pólaków— i ich głodu wartości kulturalnych. Widzimy, że żołnierze Brygady Karpackiej mają zorganizowaną wypożyczalnię książek, że kino obozowe wyświetla film polski.

Widzimy dalej, że żołnierze polscy cieszą się olbrzymią sympatią wśród ludności tubylczej. Jak donosi organ brygady Strzelców Karpackich: "Uroczystości Święta Żołnierza Polskiego odbiły się głośnym echem w prasie palestyńskiej. Zarówno pisma angielskie, jak i żydowskie zamieściły obszerne sprawozdanie z przebiegu uroczystości, podkreślając zgodnie dzielną i prawdziwie żołnierską postawę naszej brygady. Wszystkie rodzaje broni zademonstrowały najwyższy poziom wyszkolenia i charakterystyczną dla Polaków dumę żołnierską." W jednym z pism jerozolimskich czytamy: "Gdy oddział polski maszerował obok koszar oddziału angielskiego, stacjonującego w pobliżu Bramy Damasceńskiej, gwardia brytyjska sprezentowała broń i trębacz odegrał "generalski salut."

REPREZENTANCI NARODU I JEGO HISTORII

Ten powszechny szacunek obcego społeczeństwa, okazywany Brygadzie Karpackiej staje się dla nas rzeczą zupełnie zrozumiałą, jeśli się zważy, że Brygada ta powstała głównie z ludzi, którzy przedzierali się z obozów internowanych na Węgrzech i w Rumunii, że jednoczy w sobie element doborowy nie tylko pod względem wartości żołnierskiej, ale także i ducha patriotycznego. Żołnierze ci świadomi są, że reprezentują wobec, jakże dalekich i obcych narodowości, honor polskiej siły zbrojnej, że są uosobieniem całej polskiej tradycji. Ta świadomość, jakże silnie brzmi w słowach opisujących defiladę w dn. 15 sierpnia przed Wysokim Komisarzem Palestyny:

"Wysoki Pan na trybunie, zgasił swój uprzejmy uśmiech. Usta ściągnęły mu się w twardą linię. W mimowolnej odpowiedzi na harde poderwanie głów tych, co szli przed nim—siwa głowa podciągnęła się do góry.

Inne znalazłeś w sobie echa Ekscelencjo poza uprzejmością Twego uśmiechu i miękkością gestu, z jakim zdejmowałeś szary cylinder. Inny odzew w męskiej duszy Twego Narodu zbudził mocny, bijący przed Tobą krok Żołnierza Polskiego, na sześć tysięcy pięćsetnym kilometrze marszu od Ojczyzny. Czyś wiedział, że przed Tobą idzie Historia? Czyś przeczuł może, ile zwycięstw podniosło tak dumnie głowy piechurów, zwrócone ku Tobie? Racławice, Modena, Egipt, Jena, Wagram, Saragossa, Gdańsk, Warszawa, Smoleńsk, Moskwa, Borodino, Raszyn, Olszynka, Iganie, Dubienka, Kielce, Mołotków, Lwów, Radzymin, Kutno, Modlin. . . ."

Adam Ordęga

Angielski Xmas

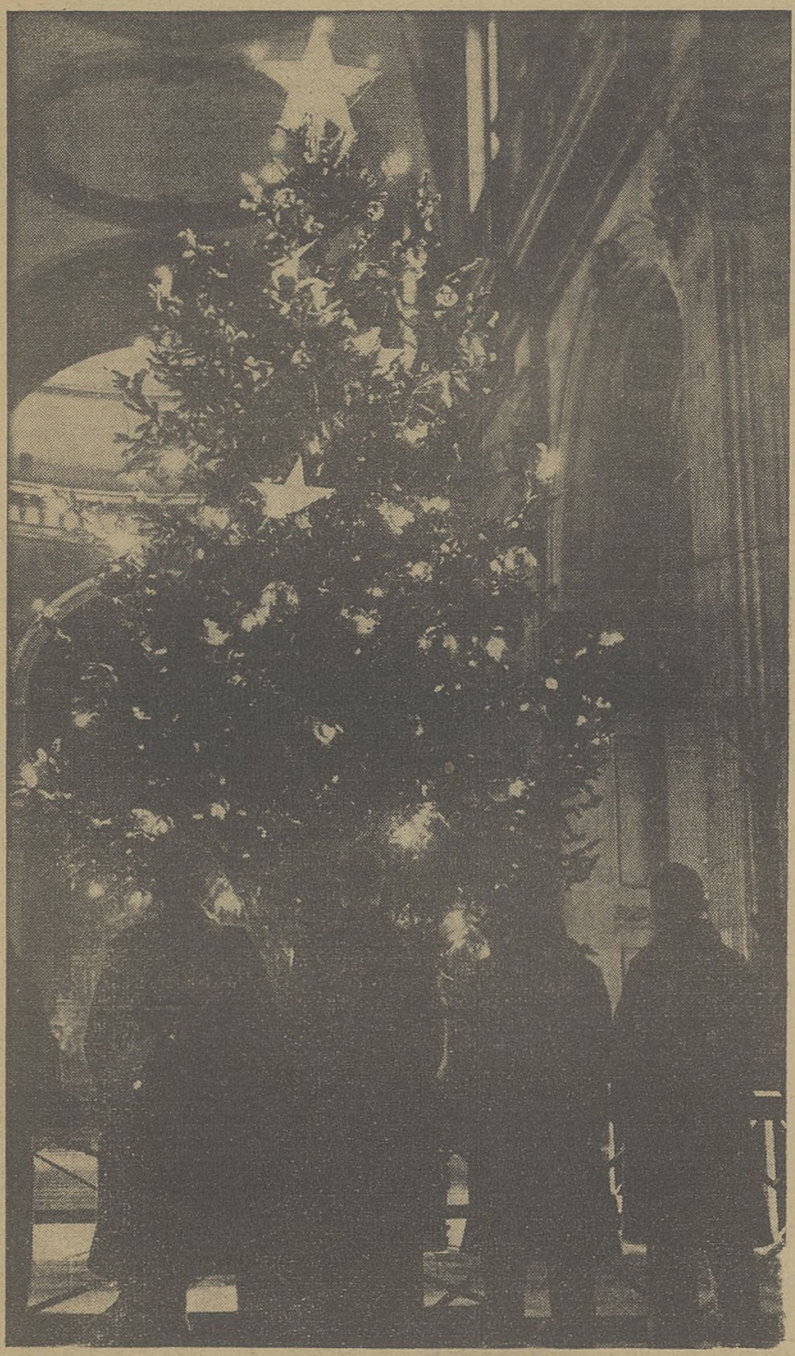

Żołnierze przed choinką w katedrze Świętego Pawła w Londynie

Angielski *Christmas*—w skrócie *Xmas*—jest dosyć osobliwą mieszaniną dla przybysza z kontynentu. Przyzwyczajony do uroczystych świąt, świąt rodziny, typu tego co w Polsce, w krajach skandynawskich czy w Szwajcarii, przybysz spędzający tu *Christmas* po raz pierwszy (szczególnie w mieście), napewno nie będzie czuł się swojo w atmosferze angielskiej. Trzeba jednak uprzytomnić sobie powody, dla których *Christmas* angielski nie ma w sobie ciepła i intymności naszych świąt, względnie świąt obchodzonych w Europie środkowej, północnej lub południowo-wschodniej.

Musimy zrozumieć, że najpiękniej święta Bożego Narodzenia obchodzone są w krajach o tradycjach katolickich i że kraje protestanckie już w znacznie mniejszym stopniu mają kult dla tych świąt. Stały się one niejednokrotnie zanadto "świeckie," a mniejsza serdeczność czy pewna oficjalność życia domowego sprawia, że tracą one wiele z ciepła tak znamiennego dla Bożego Narodzenia krajów katolickich.

W Anglii protestantyzm i purytanizm sprawiły, że położono tłumik na uczucia, że zgaszono wiele ciepła wyrazu, że stonowano wiele barw. Ten wpływ purytanizmu na sztukę angielską jest widoczny; muzyka angielska otrzymała z rąk purytanizmu cios na wiele lat. Ale po dziś dzień istnieją świadkowie tych barwniejszych czasów: kolędy, czyli *carols*, z doby elżbietańskiej przeważnie, piękne językowo, sute porównaniami, wdzięczne melodią. Wiele z tych "*Christmas carols*" drzemało przez lata aż dopiero w latach ostatnich, wraz z nawrotem do dawnych piękności sztuki i literatury angielskiej, odrodzeniem smaku dla rzeczy muzyki i dla pieśni—odgrzebano rozliczne kolędy. Dzisiaj są one wykonywane na koncertach, w kościołach. Kolędy te niejednokrotnie przypominają tematyką nasze kolędy, chociaż nie są ani tak rzewne, ani tak melodyjne.

Purytanizm sprawił, że święta Bożego Narodzenia są w Anglii znacznie bardziej "sztywne" i "urzędowe," niż w Europie środkowej, aniżeli w Polsce. Zwyczaj ustawiania drzewka jest w Anglii rzeczą naniesioną—wtórną: przyszedł ten obyczaj z Niemiec. Uznano drzewko za piękny motyw dekoracyjny i pojawia się dzisiaj ono w licznych domach angielskich. Przeważnie jednak jest to drzewko "salonowe"—w donicy, anemiczne i drobne, niepodobne do smukłych polskich drzewek, strzelistych "chojar." Zdobione jest ono także raczej szablonowo. Kupuje się gotowe ozdoby,—od tego są rozmaite *Woolworthy*,—gotowe pakieciki za parę groszy. Świeczki montuje się przeważnie elektryczne; doniedawna jeszcze nie łatwo było dostać w Londynie lichtarzyków do świeczek. Domowe ozdoby, robienie—jak to jest w zwyczaju w Polsce—rozmaitych łańcuchów, gwiazd betlejemskich itd, co daje tyle radości i otacza drzewko atmosferą oryginalności, własnej pomysłowości, w Anglii nie jest znane.

Jest rzeczą znamienną, że najbardziej zbliżone do świąt środkowo-europejskich w Anglii są te domy, które znały Europę z lat podróży i bytowania na kontynencie. W rodzinach, które przebywały latami w Szwajcarii, Skandynawii, czy w Niemczech w rzeszach tych, co spędzali narciarskie święta w Austrii—obudził się smak dla cieplejszych, przytulniejszych, bardziej serdecznych niejako świąt, aniżeli te, które dyktuje obyczaj angielski.

Do tego zwrotu przyczynia się również fakt, że katolicyzm staje się co raz bardziej żywotną siłą w Anglii, że tęsknoty za katolicyzmem budzą się co raz częściej w tym kraju i że od czasu wojny światowej zaznacza się w Anglii prąd, dążący do "ożywienia uczuć," do obudzenia wrażliwości, do niepognębiania odruchów serdecznych. Literatura okresu powojennego walczy wielkrotnie (by przypomnieć tylko wielkiego Johna Galsworthy) z oschłością serca, zatamowaniem uczucia.

Anglia nie zna wieczerzy wigilijnej, która dla każdego Polaka jest symbolem religijnym i rodzinnym, najściślej zespolonym. W Polsce słowo "wilia" jest czymś tak oczywistym, czemś tak powszechnym, tak wrosłym w nasz język i obyczajowość, że nie zastanawiamy się nieraz nad pochodzeniem tego słowa—nie zdajemy sobie sprawy, że wilia i wigilia oznacza przeddzień. A zatem dzień 24-ego grudnia jest wilią właściwego święta: dnia 25-ego grudnia.

W Anglii dzień ten zwie się właśnie *Christmas Eve*: przeddzień święta Bożego Narodzenia. Nie odznacza się on niczym specjalnym, niczym uroczystym, poza tym, że w dzień ten setki tysięcy Anglików rusza do swoich siedzib wiejskich—przed wojną zaś dziesiątki a może i setki tysięcy ruszały na—kontynent. Trudno sobie doprawdy wyobrazić czym była ta migracja świąteczna za czasów przedwojennych. Jeszcze w r. ub., kiedy otwarta była droga do Francji dziesiątki tysięcy jechały szlakiem przez Kanał La Manche albo szlakiem powietrznym do Paryża.

Christmas Day, u nas pierwszy dzień świąt, to jest właściwe święto angielskie. Jest to połączenie naszego św. Mikołaja z pierwszym dniem świąt. Dzieci znajdują rano w *Christmas Day* dowody pamięci *Santa Claus* (zdrobnienie imienia świętego biskupa): wiszą one w pończosze przy kominku (w Polsce leżą nocy z 5-ego na 6-ego grudnia pod poduszkami dzieci). Pończochy są oczywiście mniejsze i większe, bardziej lub mniej pękate. Przy pierwszym śniadaniu starsi znajdują dary na stole: opakowane są one w papier barwny, czerwony lub zielony. Rozwija się i rozpakowuje te dary wśród radosnych okrzyków i zachwytów. Poczem rodzina zasiada do uroczystego pierwszego śniadania.

Christmas dinner albo *Christmas Feast* przypomina swoim *menu* francuski *reveillon*. Musi być zatem indyk, paradny *turkey*,—w tym roku będzie go mniej i będzie mocno słony w cenie. Pozatem koronę stanowi *Xmas pudding*, który w dworach albo w wielkich restauracjach robi się nieraz na parę tygodni przed *Christmas Day*. Pudding ten zapala się fioletowym płomieniem alkoholu i w glorii tego światła wnosi się go do pokoju.

Przy *Christmas dinner* obowiązują rygory ubrania: frak dla panów, suknie wieczorowe dla pań. Obserwuje się ten zwyczaj nawet w ścisłym gronie domowym. Mniej uroczyście należy pojawiać się przy stole w *Xmas Eve Dinner*—a więc w naszą wilię—połączoną wielokrotnie z tańcami.

Drugi dzień świąt, czyli tzw. *Boxing Day*, to dzień uciechy i zabawy i to przeważnie poza domem. W czasach pokoju setki tysięcy mieszkańców Londynu wędrowało do teatrów, kin, cyrków. Bilety zamawiało się na miesiąc a nieraz dwa lub trzy na przód. Zabawy, rauty, tańce nadawały temu *Boxing Day* charakter karnawału. Wiele z tych zabaw nosiło tytuł *Carnival Dance*.

Dla Anglika Sylwester jest przedłużeniem okresu świąt. *New Year's Eve*, przedzień Nowego Roku to zamknięcie okresu świątecznego wypoczynku.

Święta Bożego Narodzenia oglądały w Anglii dwustronny niejako ruch: na wieś i zagranicę. Na wieś uciekało miasto—właściciele domków, majątków, rezydencyj, *country houses*, *manor houses* i skromnych *cottages*, zaproszeni do tych uroczych rezerwatów ciszy i starego obyczaju goście, członkowie rodzin bawiący poza Anglią, urlopowani żołnierze armij zamorskich. Zagranicę uciekali ci wszyscy, którzy nie posiadali rodzin, ale i wielu właścicieli domów wiejskich, którzy nie chcieli przyjmować w święta i pragnęli spędzić *Xmas* na swój sposób. Anglicy jechali masowo do Francji, głównie na Rivierę, mniej w Alpy, częściowo w Pireneje. Dawniej tłumy jechały do Austrii, tysiące do Szwajcarji, dzięki ułatwieniom tzw. *Swiss hotel plan*, co umożliwiało podróż do Szwajcarii w okolicę Interlaken, pobyt dziesięciodniowy z utrzymaniem i powrotną podróż ze cenę zaledwie £10 (dziesięciu funtów szt.).

Trzeba znać Anglię przedwojenną, ażeby sobie uprzytomnić rozmiary tego ciągu na Boże Narodzenie. Samoloty na kontynent wykupione na miesiąc przedtem, sleepingi na Rivierę także, statki przez Kanał przepełnione, wszystkie *trains de luxe* i *flêches d'or, golden arrows* czy *blue trains* zajęte zamówieniami biur podróży. Wydatki Anglii w okresie *Xmas* rosły niebywale—obrót banknotów wzrastał nieraz o 150 milionów ft. szt. albo i więcej. Poczta musiała nieraz segregować po 10 milionów paczek i dziesiątki milionów listów i kartek.

Chłopcy śpiewają na chórze jednego z kościołów londyńskich

Pamiętajmy, że w Anglii pisze się życzenia setkami; przed *Xmas* wiele rodzin zasiada na specjalne sesje, ażeby podołać temu zadaniu. Posyła się bowiem *Xmas greetings* do wszystkich bliskich i dalszych znajomych. Jeżeli na parę dni przed *Xmas* poznałeś Anglika a zna on twój adres, to istnieją wszelkie szanse, że otrzymasz od niego życzenia.

Wydatki na pocztę wkraczały w Anglii w cyfry dla Polaków zgoła niepojęte—podobnie jak ilości paczek, albowiem obdarowywać się trzeba. Nawet biedni obdarowują się—korzystając z faktu, że pomysłowe sklepy angielskie mają do wyboru i do koloru dary po każdej cenie i to już zapakowane do Szwajcarii w okolicę Interlaken i ofrankowane (trzeba tylko wypisać adres). Normalnie poczta dobierała po 30,000 urzędników na okres *Xmas*, ażeby dać sobie radę z zalewem poczty—obecnie wystosowano apel do krewnych, rodzin, a nawet "*sweethearts*" urzędników i urzędniczek poczty by zgłaszali się w biurach *Post Office*: praca jest dla tysięcy.

Ilości wozów pocztowych kursujących po miastach były potrojone, niekiedy było ich 5 razy więcej. Poczta urządzała się w ten sposób, że przed świętami wypychała listy i paczki na kontynent i w kraje zamorskie (na każdej poczcie widniały wykazy statków jadących do dominiów i kolonii a zabierające pocztę na *Xmas*). Jeżeli zatem ktoś z kontynentu napisał na parę dni przed *Xmas* do znajomych w Anglii, przychodziło to dobrych parę dni po *Xmas*—albowiem po świętach poczta zabierała się do wpływów. . . . Inaczej nie dano by sobie rady z potopem poczty.

Tak to wygląda (a raczej wyglądał) *Christmas* angielski—mieszanina purytanizmu, wpływów francuskich, naleciałości niemieckich, tęsknot kontynentalnych, mieszanina święta wsi i włóczęgi zagranicznej—inne Boże Narodzenie, noszące raczej charakter wakacji, aniżeli uroczystości, odarte z wielu sentymentalnych więzów i wspomnień; uroczy dla Anglików; dla ludzi z kontynentu—doświadczenie, do którego niezbyt łatwo się przyzwyczaić.

Antoni Jawnuta

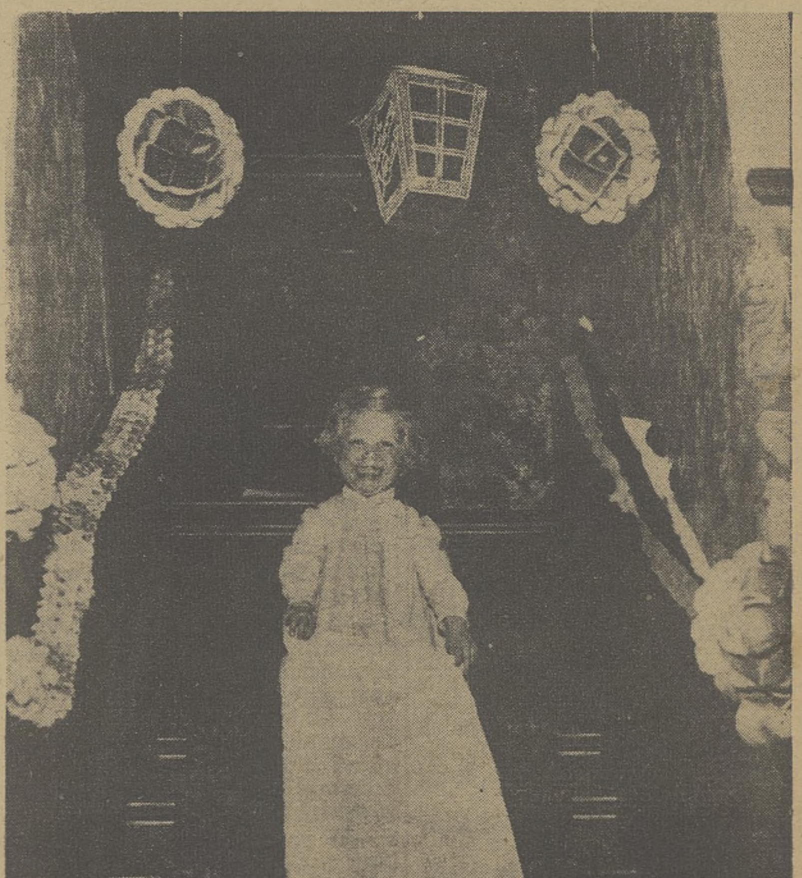

W tej pończoszce coś się zmieści

Choćby na koniec świata — byle bić

Co raz więcej, co raz głośniej mówią na ulicach Lwowa o tych co się bronią, w krótkich godzinach między nalotami wydaje się, że wojna jest zwycięska, mówią o armiach, o oddziałach, które się biją nieustępliwie—bohaterzy. Zjawia się to słowo i biegnie od ust do ust, są bohaterzy, nie mają ni imion ni nazwisk, jeśli pada nazwisko dowódcy ginie od razu w niepamięci, zdaje się, że to jest wojna ludu. Z każdą godziną miasto nabrzmiewa nowymi przybyszami, to są ci, którzy szli piechotą przez cały kraj, by dotrzeć do wojska.

Co raz więcej przychodzi do miasta żołnierzy. Żołnierzy rozgromionych oddziałów. Lecz nie mówią o klęsce. Klęska jeszcze nie dojrzała. Leżąc na trawnikach skwerów, na chodnikach przed koszarami, stłoczeni w bramie wspominają pierwsze dni wojny, kiedy posunęli się na przód o jeden, dwa kilometry. Mówią spokojnie, trochę niedbale, jakby chcieli wierzyć sami i jakby im należało wierzyć, że to była sprawa zwykła, zrozumiała, bardziej zrozumiała, aniżeli wszystko co się stało potem. Po prostu z za zasłon czołgowych wylazła niemiecka piechota, leżała naprzeciw nich, a oni walili w nią, armatami, karabinami, aż się Niemcy zaczęli cofać.

—Przecież się nas bali. Uciekali przed nami jak te zające. A my na nich. Lu.

Opisują roześmiani, jak szli na przód, jak posuwali się po polach zasłanych niemieckimi trupami, pewni, wtedy i jeszcze dziś, że tak wyglądała i tak powinna była wyglądać wojna. Bo Niemcy są tchórze. To nie oni zwyciężają. Zwyciężają ich czołgi, ich pancerne blachy, ich samoloty. Żywe niemieckie ciało to ścierwo. Zwycięstwo należy się sprawiedliwie polskiemu żołnierzowi, bo nadstawia własną pierś, bije się własnymi rękami, mierzy własnym ludzkim okiem, idzie na przód żywymi nogami. Wyrasta niepostrzeżenie legenda walki, w której nie ważny jest wynik końcowy, ale to, że z nieludzkimi machinami, kierowanymi niewidzialną piekielną wolą walczy człowiek.

Niewiadomo jak długo trwał ten sprawiedliwy zwycięski pochód. Wydaje się, że to były długie dnie, w jakimś nadrzędnym rachunku do dziś nieskończone, przerwane tylko nieoczekiwanym zwrotem taktycznym.

—Jak się wtedy pochowali, tośmy ich już więcej nie zobaczyli taki przed nami mores mieli.

Odtąd widzieli już tylko czołgi i samoloty. Z opowiadań wyłania się jakiś jeden dzień—niewiadomo ile czasu upłynęło od zwycięskiego okrzyku—dzień, przeraźliwie jasny, kiedy każde przywarte do ziemi ciało naświetlone jest bezlitosną lampą słońca. Strzelając zdołali się okopać trochę, ale nawet nie tyle, by im zasłoniło głowy. Więc pełno głów potrzaskanych leży na około. Spieczona ziemia wilgotnieje. Pociski zwalają ostatnie drzewa, pod którymi się ukryli. Padają z trzaskiem pnie, już nie chronią więcej, tylko łamią kręgosłupy. Odłamane gałęzie szumią ostatnim suchym poszumem. Pociski padają z przodu, z góry i z boku. Już wiadomo, że trzeba się będzie wycofać. Ale jeszcze nie mają ochoty.

—Może wylezą, to byśmy jeszcze dali rady. . . .

Strzelają i łudzą się nadzieją, że uda im się wywabić tych Niemców z za ich pancernej zasłony. Że zobaczą przed sobą żywego wroga.

—Przepełzłem przez całą linię. Każdemu powiedziałem: nie strzelaj, bracie. Niech te ścierwy myślą, że tu trupy. To może przyjdą. Naprzód się wzdragali. Jak tu nie strzelać? Ale potem zmiarkowali. I leżą.

Jest słoneczne, gorące południe. Z nieba leci żar i pociski. A oni leżą i udają trupy. I tak bronią linii trupy prawdziwe i nieprawdziwe. Ale Niemcy strzelają dalej i nie podchodzą. Tchórze.

Cała nieludzkość i cała krzywda tej walki uosabia się w tej niewidzialności wroga, w tym, że jest chroniony, że nie przychodzi jak ludzki wróg. Że oni mają na swoją obronę tylko tę kupkę swojej ziemi, a tamci przywieźli ze sobą swoje stalowe osłony, najechali nimi, najeźdźcy podli, bez twarzy.

—Jak sobie pomyślałem, że oni się tam za swojemi blachami z nas śmieją to mnie złość zatrzęsła. Niech psiakrew wiedzą, że Polak choć słabszy, to się nie da.

Tak leżą i strzelają dzień jeden, drugi, trzeci. Są głodni, spragnieni. Niekiedy ktoś czołga się do potoku. Albo wraca, albo nie wraca. Jeśli wraca przynosi wodę rdzawą i słonawą. Żłopią łapczywie.

Słońce chyli się ku zachodowi. Cienie są długie, trudno już odróżnić czerwień słońca od czerwieni krwi. Na gasnącym niebie pojawiają się samoloty. Przez chwilę podrywa ich szalona nadzieja, może to nasi. Ale samoloty walą w nich bombami.

Noc przychodzi, przez chwilę jest dobrotliwa czarna, ale rozbłyskuje wkrótce światłami. Wsie palą się jak pochodnie, bomby zapalające czynią z nocy czerwony dzień, skulone cienie snują się po polu, jeszcze nie uciekają. Zmieniają tylko pozycje, wyszukują dogodniejsze, okopują się gorączkowo.

Niewiadomo ilu ludzi zostało z tej dywizji piechoty. Nie mówią o tym, chronią wstydliwym milczeniem kolegów, których zostawili na polu, artylerię, o której nie wiedzą kiedy ją podcięto, sanitarne kolumny, których więcej nie widzieli. Mówią tylko o tym, że w nocy zmienili pozycje, że trzymali się cały dzień następny. Wyliczają godziny. Mówią dwadzieścia godzin, jakby chcieli zaznaczyć, że każda godzina miała rozmiar i wagę nieobliczalną. Dopiero szary świt zastaje jamy wygniecione brzuchami, łokciami, kolanami—puste. Tylko prawdziwe trupy nie opuściły pozycji. Jęczą ranni.

Klęska? Jeszcze nie. Mówią teraz o tym, jak o jakimś epizodzie krwawym, nieszczęśliwym, ale epizodzie. Na gruzach dywizji wyrasta nowa legenda, legenda zwycięstw odniesionych wówczas, kiedy już nie ma batalionów, kiedy dziesięciu ludzi rzuca się z gołymi rękami na czołgi, rozwala mu pięściami stalowe szczęki, na śmierć zadeptuje wywiesza zwycięską chorągiew na szczycie niemieckiej twierdzy. Legenda jest niemal radosna, pełna wiary w siebie, krzepiąca, klęska jeszcze nie dojrzała, naród jest zdrowy i potrzebuje utwierdzenia swej siły. Opowiadają radośnie:

—Jakeśmy te cztery czołgi zdobyli tośmy się przez trzy dni w miasteczku trzymali. Naprzód tośmy je na czterech ulicach ustawili. Ale potem tośmy zmiarkowali, że za słaby ogień jest. A tu trzeba tak walić, żeby Niemcy myśleli, że z pół dywizji w mieście stoi.

Żołnierz przerywa, jak wytrawny mówca, który milczeniem przygotowuje efekt końcowy. Skręca papierosa i uśmiecha się sprytnie.

—To,my się bardziej do siebie przyparli, do środka. I tak było powiedziane, że jak tylko w jednym rogu strzał padnie, to zaraz dwa inne czołgi podjeżdżają. Tośmy se tak przez trzy dni tam i nazad jeździli jak te generały. Z czterech tośmy dwanaście czołgów zrobili. Fajno było.

—A pamiętasz Wicek te karabiny maszynowe? Mieliśmy ich tylko dwa cośmy je na plecach przenieśli. Porucznik je kazał w oknie ustawić jeszcze pierzynami nakryć. A ja mówię, nie tak trzeba panie poruczniku. Karabiny muszą być ruchome. Skakać muszą, jak te kozy. Jakże to? Ano tak. Pozycjeśmy zrobili zamaskowane, kamieniami obłożone, jeszcze na wierzchu wozy przewrócone położyliśmy. Ale karabinów tam nie ma. Na rynku stoją, w środku. A jak co do czego na plecy i na pozycję. No to i były, jak te kozy.

Tak się z miasteczka twierdza zrobiła. Jakby jej cała armia broniła. A w środku na rynku była Polska. Zwycięska. Wesoła.

—Kuchnię swoją mieliśmy dziewczyny nam gotowały. Tylko, że nie było co. Bo przecie wsie popalone. Portki z nas oblatywały i ludziom już źle z oczów patrzyło. Porucznik mówi, nie ma co, trzeba się będzie wycofać, bo i tak z tego nic nie wyjdzie. Wyjdzie, nie wyjdzie, ale szkoda Niemcom zdrowe miasto oddawać. No to powiadam, melduję posłusznie panie poruczniku, jest jeszcze jedna chałupa, nie całkiem spalona i widać ją. A na wieczór zameldowałem: kolacja jest!

Niewiadomo właściwie jak się to stało, że opuścili to miasteczko po trzech zwycięskich dniach. Znowu jakiś podstęp piekielny, z boku, z tyłu, z góry . . . w jakimś miejscu, którego nie można było upilnować, bo nie było czym. Dlaczego tak się złożyło, dlaczego tak musiało być? Rachunek bardzo prosty:

— Tak mówią, że niemieckich dywizyj jest 77. A samolotów pięć tysięcy.

I wzdychają z ulgą. Przewaga liczebna jest wyjaśnieniem, zmywa wstyd. Klęska? Jeszcze nie. Przecież kiedy szli dalej napotykali inne oddziały. Łączyli się. Jeszcze pełno było ludzi zdrowych, całych, wszyscy chcieli się bić, nikt nie wiedział dlaczego ucieka. Znowu się gdzieś okopywali, znowu zajmowali jakieś wsie, miasteczka zostawiali za sobą trupy—zmierzali do jakiejś armii, o której szły słuchy, że się broni, że się bije. Przedzierali się ku niej wierząc, że jak dotrą to się zacznie wojna właściwa, prawdziwa, taka, która musi być zwycięska.

—Bo przecie jeden Polak na dziesięciu Niemców starczy. Jak nic.

Tak szli, aż się którejś nocy zgubili. Przez głęboką czerń tej nocy przeziera klęska. Szli drogą, środkiem lasu. Z dawnej kompanii było ich już tylko pięciu, ale byli nowi. Las był stary, cichy, nad drogą były gwiazdy i szczyty sosen nieruchome. Nawet sobie przysiedli i omackiem szukali borówek.—Już to człowiek nie wie, co taka jedna borówka może znaczyć.—Wygrzebywali je z mchu, jak za dobrych czasów, dawno, trzy, czetry tygodnie temu, kiedy snuli się w niedzielę z dziewczynami po lesie. Potem szli dalej, szybko, żeby po nocy drogę odwalić. Nagle był zator.

Drzewa leżały połamane, powalone, szli po gałęziach, drzazgach, przekraczając pnie, ale zator robił się co raz gęstszy. Na drodze w rowach, wśród kikutów drzew leżały przewrócone wozy, stały samochody krzywe, bez kół, sterczały lufy zarytych w ziemię armat, kominy kuchni polowych, płachty namiotów wyglądały jak kałuże wody, walały się na ziemi kupy karabinów, kiedy nachylali się szukając omackiem przejścia, trafiali na śliski koński zad, na mokre chrapy, ziemia była grząska, potykali się i trafiali na but, na nogę kosmatą od spodni, na głowę przywaloną kołem, chcieli przedrzeć się bokiem i nie mogli dotrzeć do krańca, chwilami zdawało się, że słychać jęk, ale było cicho, tylko skrzypnęła nadeptana menażka, albo ktoś przewrócił się o karabin maszynowy, w jednym miejscu spiętrzone wozy i armaty tworzyły górę wielką, dziurawą, obchodzili ją długo, stąpając po ciałach leżących u spodu, wdeptując czaszki w mokrą ziemię.

Zgubili kierunek i pogubili się wzajem. Zaczęli nawoływać się cicho—z boków, z dołu, szedł cichy głos:—Antek! Tu! tu!—jakby wołały ich trupy, przedzierali się ku temu głosowi, przeskakując i zapadając się w doły—na dnie jakby jeszcze się coś ruszało, coś muskało po twarzy, może to były wilgotne korzenie, może ręce—biegli ku sobie, w pierwszym potwornym strachu, i przysiadali zmęczeni, patrząc wytężonym wzrokiem w czarne zygzaki klęski.

—Jak się ino sino zrobiło, to zobaczyłem, że koło mnie żołnierz leży. Na nogach miał buty. Tom mu powiedział, musisz mi bracie te buty dać. Bez twoich butów na moich nogach to byś ty spokoju nie miał na tamtym świecie. Ale jakem mu owijaki odwijał, to mi łzy ciurkiem kapały, bom se pomyślał i cóżeś ty bidaku tymi butami wychodził?

W tym szarym zmroku chcieli jeszcze uruchomić jakiś samochód. Puścili motor i bił w ciszy głośno, równo, ostatnie żywe serce. Ale klęska trzymała go martwymi ramionami. Nie puszczała, jak bagno topielca. Wtedy nagle zaczęły ich z góry ostrzeliwać niemieckie samoloty. Rozpierzchli się I potem odnaleźli się już tylko we czterech. Dwuch z własnej i dwuch z obcej kompanii. Porucznika zgubili.

Klęskę przeżywali, kiedy kryli się w stertach słomy i na strychach chałup. Obżarli się chlebem, popili miekiem, albo maślanką, nie chcieli o niczym wiedzieć i poszli spać na słomę.

Nocą szli dalej. Ale nogi obolałe nie chciały nieść więcej i w ciężkiej głowie powstawała myśl ślepa i rozpaczliwa: położyć się w rowie i zostać. Drogą sinym szlakiem ciągnęły furmanki i szły gromady ludzi. Wlokły się ciężko, dźwigając dzieci na plecach, albo gnając je przed sobą.

—Wy skąd?

—Z pogranicza. Od Niemców.

Przysiadali razem w przydrożnych rowach. Pod wielkim, obsianym gwiazdami niebem świeciły blade twarze. Wyciągali chleb i dzielili się nim. Między jednym kęsem a drugim przybysze rzucali urywane słowa. Mówili o tym, czego doznali od Niemców. Zdania padały twarde, siekane. Niekiedy głos ugrzęzły w gardle wyrywał się nagle i charczał przekleństwem:

—Żeby im dzieci pozabijało. Żeby im domy rozwaliło. Żeby ich ręce i nogi i głowy były osobno.

Niemcy—to nie był po prostu tylko wróg. Ten najazd—to nie była tylko wojna. Szła na kraj potworna, bezkształtna zmora, deptała miasta i wsie, tratowała ludzi na miazgę, karmiła się ich krwią, łzami, nieszczęściem. Ziała okrucieństwem i podłością. Kłamstwem i obelgą. Niweczyła coś więcej jak życie. Burzyła coś ważniejszego jak mury domów. To nie była wojna ludzi.

Świat zdawał się walić nie od bomb, nie od armatnich pocisków, lecz zapadać sam w sobie, od środka. Wrócić do domu? Okazywało się, że ta ucieczka nie była żadnym wyjściem. Nie ma żadnej możności życia z tym wrogiem w kraju. Nie ma domu. Nie ma rodziny.

Siedzieli skuleni w chłodzie przedrannej mgły. Słuchali ciągle. Potem nagle zrywali się i podnosząc pięści wołali:

—Nie dać się! Bić się! Jeszcze nie przepadło!

Nim zaczął się świt poszli dalej. Nadstawiali uszu i pytali wszystkich co się dzieje. Wtedy doszedł ich przejmujący szept:

—Warszawa się broni!

Szedł zewsząd, ze wszystkich chałup, ze wszystkich domów. Chłopi na polach, baby w obejściach, ludzie w małych miasteczkach, witali ich tym szeptem, który urastał do krzyku:

—Warszawa się broni!

Niezliczone kolumny niemieckich czołgów i czarne stada samolotów otoczyły Warszawę, a ona stała pośrodku wielka, biała, z czerwonymi pasmami krwi i łun i wołała ustami radiowych głośników na cały kraj:

—Do broni! Do broni!

Przez radio słychać było tępy huk bomb, urywał się głos ludzki, zamierał dech w piersiach i zdawało się że to już kres, ktoś jęknął w chałupie a tam biły bomby, waliło się coś z dalekim trzaskiem, jakby zapadało się całe miasto, jakby rozsypywały się wszystkie mury—aż nagle ponad huki wybijał się czysty, jasny głos speakera:

—Nie ma wśród nas takich, którzyby się chcieli poddać! Zburzyli Warszawę pierwszą ale mamy Warszawę drugą! Warszawa druga nie podda się! Warszawa druga woła na cały kraj: do broni! do broni!

Zrywali się drżący z gorączki, oblani potem i szli. Do Warszawy! Po drodze chwytali wieści zdyszane, gorące: armia pomorska idzie na odsiecz Warszawie. Armia zachodnia już się z nią połączyła i ciągnie łukiem ku górze, ku Warszawie! Na tyły Niemców! Modlin się broni, Westerplatte trwa! Potem mówiono, że koło Lwowa gromadzą się wielkie polskie siły. Stamtąd ma się rozpocząć wielka ofensywa. Pójdzie od łuku opartego o wschodnią granicę i o Karpaty pójdzie żelaznym krokiem aż stanie nad Wisłą, przejdzie Wisłę i będzie wymiatać Niemców z zachodu i od południa. Nie było nikogo, kto by nie wierzył—jeśli byli, to bali się i milczeli. Gdzieś już toczyły się legendarne bitwy. Gdzieś już szumiało zwycięstwo. Naradzali się, czy iść do Warszawy, czy do Lwowa. Byli tacy co przebijali się do Warszawy. Ale od Lwowa miała pójść ofensywa.

—Do Lwowa! Wszędzie! Choćby na koniec świata. Byle bić!

Dotarli. Siedzą i zapada wieczór, gaśnie jeszcze jeden wojenny dzień, na chodnikach ulic leżą, w bramach koszar, na skwerach ludzie, którzy przyszli bez rozkazu, którzy sami postanowili się bić—ćmią papierosy i widać ich twarze wychudłe, poorane i spokojne, poziewają i mówią:

—Trzeba iść spać.

—Trzeba. Może zacznie się jutro?

—Może już jutro.

Noce we Lwowie są krótkie. Stłoczeni w izbach, w obcych pokojach ludzie zapadają w sen, jak w głęboki lej, we śnie plączą się obrazy odległe i bliskie, ulica własnego miasta, brama własnego domu, lecz niebo nad nimi jest niskie i czarne jakby nad wszystkimi dachami rozpięta była pogrzebowa płachta, ktoś zrywa się ze snu i pyta: gdzie jestem?, zdaje się, że z ciężkim chrzęstem zbliża się żelazny czołg—nie, to tylko charczą oddechy, tylko czerwony poblask łuny przecieka powoli przez czerń nocy i kładzie się na zapadłe oczy i otwarte usta. Ludzie śpią snem krótkim i ciężkim, śniąc o dniach zwykłych wiedzą, że jest wojna, na wszystkich piersiach leży jeden koszmar, i nieprzytomne ręce podrywają się i dławią go w sennej walce.

—O 7-mej rano otwarte są we Lwowie wszystkie głośniki. Wszyscy czekają. Poprzez trzaski i huki, górą, ponad daleką zalaną wojną przestrzenią dochodzi głos mocny i jasny:

—Warszawa trwa! Warszawa się broni!

Okrzyk biegnie przez wszystkie ulice, brzmi ze wszystkich okien, obija się echem o wszystkie domy i ze wszystkich piersi na wszystkich ulicach Lwowa wybiega okrzyk:

—Bronić się! bronić się!

Stefania Zahorska

Fragment z niedrukowanej powieści: "Polska jesień."

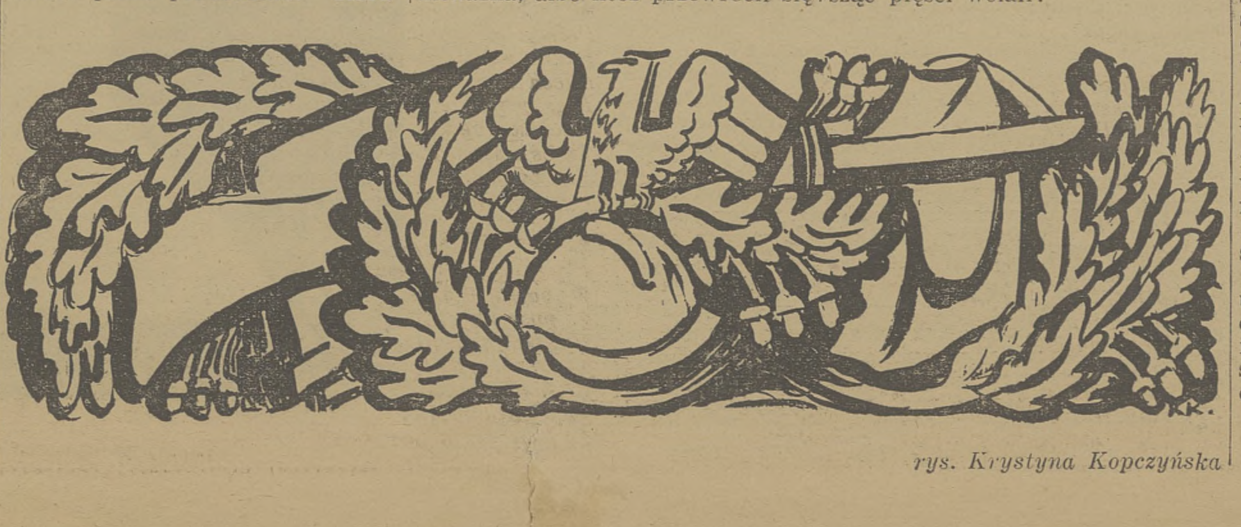

rys. Krystyna Kopczyńska

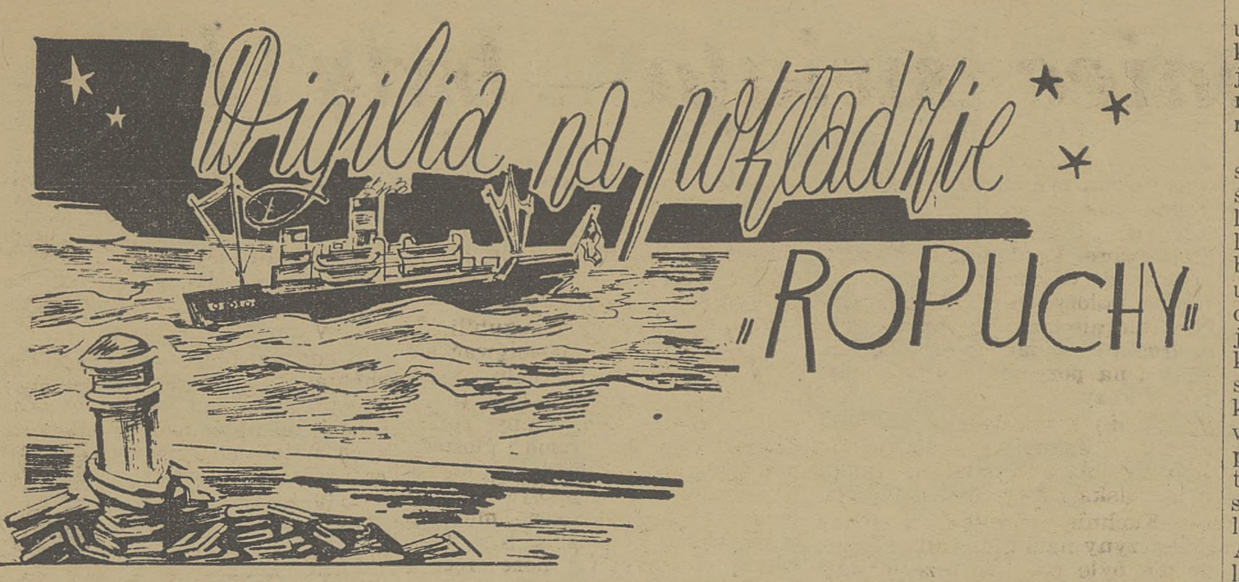

Pana plutonowego S. poznałem w pewnej miłej gospodzie w szkockim miejscu postoju 10 Brygady Kawalerii. Dzień był wyjątkowo ciepły, nic też dziwnego, że ten i ów w czasie przerwy południowej w zajęciach, wstąpił na bombkę ciemnego angielskiego piwa. Tłoczno więc i gwarno było przy stolikach, a szynkwas również zablokowany był skutecznie i dokładnie. Rozpaliła się właśnie szeroka dyskusja na temat przyszłych losów Rumunii.

Pan plutonowy S., okutany w swą podhalańską opończę, przysłuchiwał się z daleka debatom politycznym, uśmiechając się złośliwie, gdy krytykowano rumuńską po.ulność i neutralność, na której ojczyzna kochliwego Karola króla wyszła, jak przysłowiowy Zabłocki na mydle.

—Cyganili, jak mogli i kogo mogli, ale psu na budę się to ostatecznie przydało—zauważył wreszcie właściciel peleryny, a potem długo w kącie opowiadał mi swoje przygody i uzasadniał surowy sąd o "cyganach."

—W listopadzie ub. r.—zaczął pan plutonowy—zwiałem przepisowo z rumuńskiego obozu internowanych, a w połowie tego samego miesiąca wypłynęliśmy już z Constanzy do Marsylii. Okręcisko było duże, 12.000 tonn, ale stare i dość sfatygowane. Nazywało się "Ardeal," co po naszemu znaczy: ropucha. Statek naładowany był kukurydzą i jeszcze jakimś towarem, a ponadto wiózł 86 Polaków—zbiegów jak i ja—do Francji. Pomieszczenia dla ludzi—pożal się Boże!, strawa podła, ale nikt się tym nie przejmował, bo wszyscy rwali się do wojaczki; zresztą obiecywali nam Rumuni, że za 18 dni będziemy na miejscu.

—No, i dotrzymali słowa?—wtrąciłem pytanie.

—Diabła tam—skrzywił się pan plutonowy i ciągnął dalej—Jeździliśmy po morzu "we wte i we wte" i końca nie było tej podróży. A czas był burzliwy, jesienny i rzucało nami, niech Bóg uchowa. Z Constanzy zawieźli nas do Konstantynopola, potem zawrócili do Grecji do Pireusu, stąd do Smyrny i jeszcze raz nad Bosfor. Bywało, że na pełnym morzu staliśmy godzinami, a kiedyśmy pytali załogę, odpowiadali, psia ich robota, że tak ma być, a statek handlowy musi załatwić swoje interesy.

Jakie to interesy były—nie wiedzieliśmy, ale coś nam się dziwne wydawało, że tak długo jeździmy, a w portach, gdzie był postój, zawsze tak jakoś urządzano, aby nas policja portowa przyuważyła. Więc leżąc na nędznych wyrkach w luce okrętowej, zastanawialiśmy się, czy tu się przypadkiem jakieś cygaństwo nie dzieje na tym "Ardealu" i czy Rumuni naszą obecnością nie maskują jakiej kontrabandy.

Już miesiąc minął, a my tułaliśmy się na morzu; jedzenie było co raz gorsze, papierosów ani na lekarstwo, więc burzyło się bractwo i odgrażało, choć rumuński kapitan uspakajał i obiecywał, że już niedługo skończy się ta nasza mizeria.

Aż wylazło szydło z worka! Byliśmy na Morzu Śródziemnym, jadąc, jak nam mówiono—do Palermo, gdy pewnego dnia, jak huragan wypadł z mgły angielski kontrtorpedowiec i zatrzymał naszą "Ropuchę." Rumuni bardzo się składali, pokazywali na nas, ale nic nie pomogło. Kazano płynąć na Maltę. Tam dopiero szczegółowa rewizja wykazała, że pod kukurydzą ukryte były beczki z naftą czy benzyną, które prawdopodobnie szmuglowano do Włoch.

Wściekłość nas porwała, kiedy się o tym dowiedzieliśmy. O, cygany neutralne! Ale mieli za swoje. Anglicy nie "patyczkowali" się zupełnie, tylko prosto z mostu powiedzieli kapitanowi, że albo zechcą sprzedać kukurydzę i naftę Grecji, Turcji lub W. Brytanii albo oni zaczną być "niegrzeczni."

Naturalnie Rumuni zgodzili się i wszystkie zapasy zakupili Anglicy. Wypłynęliśmy więc z Malty—licho wie dlaczego—w stronę Genui. Może nasi cyganie ukryli jaką beczkę nafty i chcieli koniecznie wykonać dostawę dla jednego państwa "osiowego," może mieli jakieś inne sprawy—nikt nie wiedział.

A był to już szósty tydzień naszej po morzu łazęgi i zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Wigilię święciliśmy na morzu niedaleko Genui i chociaż bractwo było bardzo sterane podróżą, przecie uznaliśmy, że święta pięknie obchodzić trzeba. Uprzątnięto, jak można było najlepiej lukę, w której mieszkaliśmy; jakiś majster nieznany srebrnego orła na kawałku czerwonego papieru zawiesił, aby nam królował nasz ptak królewski w noc świętą na tym rumuńskim gruchocie, który sami właściciele ropuchą przezwali. Najtrudniej było o choinkę. Ale i na ten brak rada się znalazła: do kawałka drążka umocowaliśmy przy pomocy drutu ozdoby, wycięte z zielonego papieru i to było wszystko. Na wieczerzę wigilijną dano nam "ciorbę" i kawał wołowiny na oliwie. Opłatka nie było i tylko słowo krzepiące naszego dowódcy i szczere wzajemne życzenia przypominały, że to Wigilia. Niejeden też spłakał się uczciwie przy tej sposobności.

Drugiego dnia Świąt zawinęliśmy do Genui i zaraz ogłosili Rumuni, że czeka nas 10 dni postoju w tym mieście. Ale tego już było za wiele i w "luce" wybuchł formalny bunt; kapitan statku ostro się stawiał, aż mu powiedziano, że go za burtę wyrzucimy wraz z całą cygańską załogą.

"Jak długo jeszcze nas wozić będą?"—krzyczało bractwo "na cały regulator," aż nasz komendant, morus chłop, wdał się w ten cały bałagan i uspokoił tych, co się już rwali do bitki. Rada w radę, uchwaliliśmy, że do Francji się dostać musimy, a ponieważ Rumuni nie mają już żywności i muszą jej kupić dla nas i dla siebie, niechże więc kupią nam bilety do granicy francuskiej, a sami jadą choćby w podróż dookoła świata na tym swoim parszywym "Ardealu."

Komendant nasz—"Czarnecki" miał napisane w paszporcie—poszedł do rumuńskiego kapitana na pogwarkę. Tamtemu się bardzo podobał nasz projekt—widocznie nie był to taki zły interes, bo żywność we Włoszech droga, ale powiedział, że wszystko od Włochów zależy czy nas przepuszczą.

Co tu robić?—myślimy. Czy wyłożyć kawę na ławę italiańskiej policji portowej?—a nuż zamkną nas do obozu koncentracyjnego, albo Niemcom wydadzą? A znowu siedzieć 10 dni o głodzie i chłodzie w "osiowym" kraju też niebardzo bezpiecznie. Postanowiliśmy spróbować szczęścia i porozmawiać z komisarzem policji morskiej. Włoch był bardzo uroczysty, ale z gęby sądząc, łebskie musiało być człeczysko. Słuchał uważnie, długo rozmyślał, a wreszcie na drugi dzień kazał się stawić na dworcu w porcie o 7-ej wieczorem.

Klamka zapadła, ale teraz znowu zbudziły się podejrzenia, czy nas nie oszukają. Słyszeliśmy, że włoski naród dobry i Polakom sprzyja, tylko faszyści są za Niemcami—ale tyle teraz na świecie łajdactwa, że kto ich tam wie.

Tu pan plutonowy pociągnął dobry łyk piwa i opowiadał dalej:

—Przychodzimy na ten dworzec pod strachem Bożym, małymi grupkami, aby zbadać czy nie ma jakiejś zdrady. Pociąg już stoi, ale policji nie ma, tylko cywile jacyś kręcą się koło nas. Każą wsiadać, a tu nie wiadomo, co robić. Poszło kilku, co mieli po parę lirów niby po papierosy, a właściwie dla wzięcia na spytki bufetowców, dokąd idzie ten pociąg. Powiedzieli, że do granicy francuskiej, a nam kamień spadł z serca. Wsiadamy tedy.

Pociąg ruszył. Moc była bardzo jasna, księżycowa. Jechaliśmy długo nad brzegiem morza, spoglądając raz na lekko spienione, perliste fale "wielkiej wody," to znów na wspaniałe palmy czy pinie, rosnące na wybrzeżu. Ale sen zmorzył nas prędko i nawet nie wiedzieliśmy, kiedy minęła ta ostatnia noc naszej tułaczki.

Rano zbudzono nas, gdy dojeżdżaliśmy już do Modany. Pociąg stanął, a włoska straż graniczna ustawiła się w dwuszereg, a potem uroczyście przekazała naszą gromadkę Francuzom. Wielu Włochów ściskało nam ręce, żeśmy "bravi uomini," a z Francuzami rozmawiali nasi Italianie tak przyjaźnie, jakby nie było na świecie żadnej "osi." I tak sobie pomyślałem, schodząc z peronu modańskiego, że chyba Niemcy nie będą mieć wielkiej pociechy ze swoich "sprzymierzeńców."

Tu pan plutonowy dopił piwa i żegnać się począł z przygodnymi słuchaczami opowiadania o przygodach na rumuńskim "Ardealu."

Ludwik Bojczuk
zdobił Tadeusz Lipski

Puść nas Jezu na Heroda

Kolęda żołnierska

Smutno było, smutno Świętej Panience,
Gdy maluśki Jezus płakał w stajence
I srebrnymi łzami Matce się żalił,
Gdy anieli Mu lulajki śpiewali.

Rzecze Józef: Przy tej świętej niedzieli
Smętnie jakoś śpiewają anieli.
Zwołam wojsko, dwie drużyny, niewiele,
Żeby było Paniąteczku weselej.

Przybieżeli do Betlejem żołnierze.
Co tam który miał, to przyniósł w ofierze:
Koc, suchary, a w manierce łyk kawy . . .
Fanfarzyści dali sygnał zabawy.

Jak zaczęli na organkach przygrywać,
Wyłupywać obertasy i śpiewać,
Tyle było śmiechu wrzawy i tłoku,
Że aż ścichnął chór anielski w obłoku.

Rozdygała się stareńka stajenka,
Uśmiechnęła się Najświętsza Panienka
Do żołnierzy, najmilszych swych gości,
A Pan Jezus klaskał w rączki z radości.

Święty Józef podał wino na tacy,
Wychylili strzemiennego wojacy,
A odchodząc meldowali w pokorze:
P u ś ć n a s, J e z u, n a H e r o d a
p r z e z m o r z e!

Słowa i muzyka A Kowalskiego

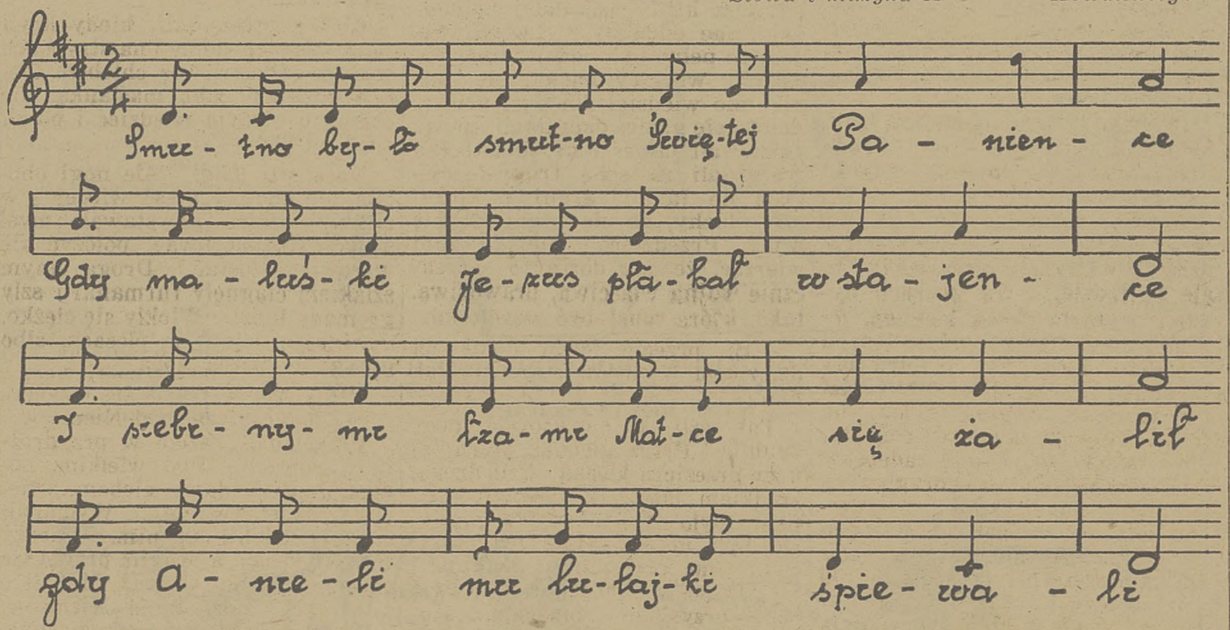

TRZY WIGILIE

Gdy pierwsza gwiazdka błysła na niebie,
Do ojca biegłeś, do matki,
Oni uśmiechem witali ciebie,
A ty uśmiechem—gwiazdki.
Już pierwsza gwiazda—pora wieczerzać,
Opłatek przełamać biały,
Jesteś wzruszony jak przy pacierzu,
A jesteś bardzo mały:
Masz lat dwanaście, nowy mundurek i mocno serce kołace
I nie rozumiesz dlaczego matka, opłatek łamiąc dziś—płacze.
Tobie wesoło—choć uroczyście,
I rozognioną masz minkę.
Bo chciałbyś prędko skończyć Wigilię,
Żeby zaświecić choinkę.
Koniec. Nareszcie!
Ojciec pod ramię ujął cię jak przyjaciela,
Idziecie razem, pokój jest ciemny,
A w kącie snop jasny wystrzela:
Choinka twoja—a na niej bańki,
Kule, łańcuchy i ognie,
A pod choinką: strzelba i łyżwy.
Tego się nie zapomni . . .
Masz lat dwanaście, zasypiasz w szczęściu,
Na matki kolanach w tę noc,
Gdy Bóg się rodzi, gdy blask ciemnieje
I gdy truchleje Moc.

* * *

Przyjeżdżam jutro. Stop.
Całuję wszystkich. Stop.
Hurra. Hurra. Hurra!!
Masz lat dwadzieścia dwa.
I mundur masz ułana,
I pierwszą gwiazdkę masz,
To ta oczekiwana.
Ta, która niegdyś dziecku
Wigilii niosła znak.
I prosisz, żeby wszystko
Jak dawniej było tak:
Opłatek, matka, ojciec,
Choinka i kolędy,
Tym razem pod choinką,
Ty kładziesz swe prezenty.
A potem opowiadasz o sobie, o ułanach,
A matka tak jak dawniej,
Jak zawsze—zapłakana,
Jak każda matka w szczęściu,
W żałości, czy w rozterce,
Ty mówisz—a jej duma
Aż rozpiera serce.
I patrzy w Twoje oczy,
Choć już nie mówisz—słyszy,
I trwacie tak oboje
Wśród nocnej Boskiej ciszy.
A gdy usypiasz, ona ci szeptem,
O Polsce mówi, jak dawniej,
Że dumna jest z swego ułana,
Że dzielny masz być i sławny!

* * *

Kiedy to było . . . ? Tak długo spałeś . . . ?
Mundur ułana we krwi . . .
Zaraz . . . czy były to lata?
Czy noce? . . . czy też dni? . . .
Noc taka sama, lecz nie wschodź gwiazdo,
Nie będę czekać na Ciebie.
Łuna, ogromna łuna nad Polską,
To moja gwiazda na niebie.
Prowadź mnie łuno do mego miasta,
Do ojców naszych i matek,
Prowadź do braci, do sióstr, do mężów,
Do małych prowadź mnie dziatek.
W tę Noc Najświętszą
Połącz me serce, mą duszę i moją myśl,
Niech oni wiedzą, niech oni czują,
Niech słyszą mnie chociaż dziś.
Powiem im wszystko, zaśpiewam kolędę.
Choinką będą nam drzewa,
Te ośnieżone polskie sosenki
Po których tylko wiatr śpiewa.
Powiem im dzisiaj w tę Noc Jedyną,
Że nam się Bóg dziś narodził,
Że w krwi oparach,
I w łzach serdecznych
Wybawić Polskę przychodzi.
Że moc struchleje
I ogień skrzepnie,
Że On jest Król nad Wiekami,
Że łuna zgaśnie,
Świt zajaśnieje,
Że Bóg jest dziś z Polakami.

Wiktor Budzyński

SPRZYMIERZEŃCY W. BRYTANII

Współudział Sprzymierzeńców Wielkiej Brytanii w walce o wolność Europy i świata zaznacza się na lądzie, w powietrzu i na morzu.

Armie lądowe stoją na straży Wielkiej Brytanii,

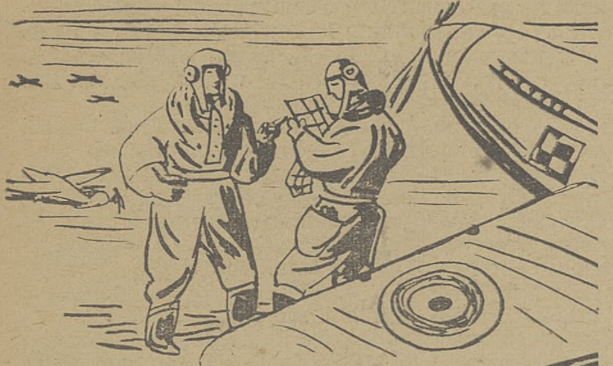

która jest ośrodkiem walki, walczą na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Wśród tych armii Polacy zajmują odcinek frontowy na wybrzeżu Szkocji, są czynni na froncie afrykańskim.

Lotnictwo sprzymierzone, przede wszystkim polskie,

odgrywa znaczną rolę, jeśli można było stwierdzić, że Polacy mają na swoim koncie 10% samolotów strąconych nad Londynem.

Okręty wojenne: Polski, Holandii, Norwegii i Wolnej Francji, chociaż ilościowo nie dadzą się porównać z flotą Wielkiej Brytanii, skutecznie z nią współpracują. Chlubne świadectwo tej współpracy dały jednostki polskiej marynarki wojennej, przede wszystkim łódź podwodna " Orzeł."

Ogromne znaczenie ma pomoc marynarki handlowej państw sprzymierzonych. Od dowozu surowców i materiału wojennego zależy prowadzenie wojny i doprowadzenie jej do zwycięskiego końca. Współudział Aliantów Wielkiej Brytanii w tym zakresie jest bardzo znaczny, zwłaszcza zaś norweskiej marynarki handlowej, która jest najliczniejsza i rozporządza statkami

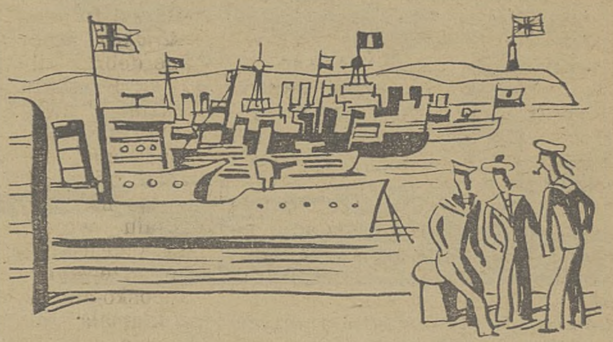

najbardziej nowoczesnego typu. Sama Wielka Brytania dysponuje jedną trzecią całkowitego tonnażu światowego, razem ze Sprzymierzeńcami—ma na swoje usługi aż połowę wszystkich statków handlowych świata.

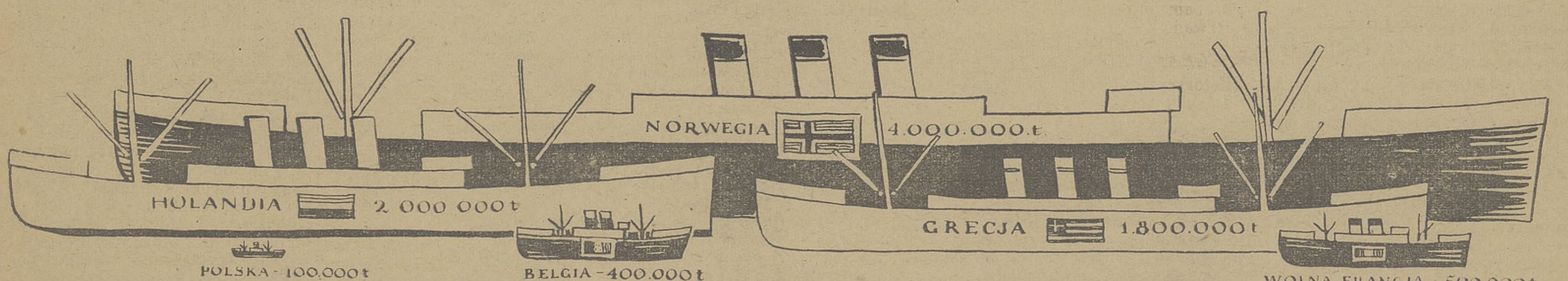

DZIĘKI WSPÓŁPRACY MARYNARKI HANDLOWEJ ALIANTÓW, ANGLIA DYSPONUJE POŁOWĄ WSZYSTKICH STATKÓW NA CAŁYM ŚWIECIE

Obok pomocy w ludziach, w sprzęcie morskim ważna jest pomoc w materiale, potrzebnym do produkcji wojennej. Przy boku Imperium Brytyjskiego stoją olbrzymie imperia kolonialne Holandii (Indie Wschodnie i Zachodnie), Belgii (Kongo) oraz Wolnej Francji (Afryka Równikowa). Każdy z tych obszarów jest siedem razy większy od Wysp Brytyjskich. Ich bogactwa są olbrzymie. Alianci wspólnie dysponują całą światową produkcją kauczuku, wielkimi zasobami nafty i wszystkich innych surowców pierwszorzędnej wagi. Nadto eksport z kolonii sprzymierzonych przynosi dewizy, tak potrzebne dla zakupu materiałów wojennych w krajach neutralnych.

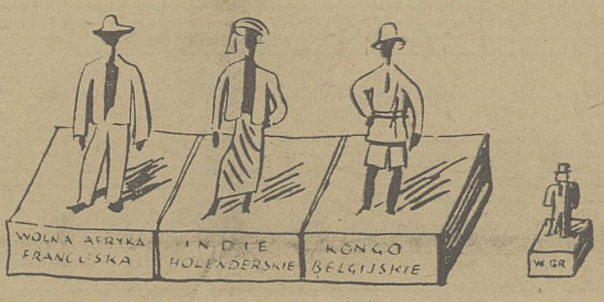

IMPERIA KOLONIALNE HOLANDII, BELGII ORAZ WOLNEJ FRANCJI SĄ 21 RAZY WIĘKSZE OD WYSP BRYTYJSKICH

Niezmiernie ważna jest dla Anglików możność korzystania z szeregu baz Aliantów. N.p. Afryka Równikowa umożliwia komunikację w poprzek Afryki i może się okazać niezmiernie pożyteczna jako punkt wyjścia ataków flankowych na włoską Libię i Abisynię. Pod względem strategicznym świeżo uzyskane greckie bazy morskie i lotnicze są oczywiście najważniejsze. Dzięki nim całe Włochy leżą w zasięgu lotnictwa i floty brytyjskiej.

...Jakby bazę moralną stanowią uciśnione ludy Europy —olbrzymi milczący sprzymierzeniec. Miliony Polaków, Czechosłowaków, Holendrów, Norwegów, Belgów czekają na chwilę, żeby powstać przeciwko bestii hitlerowskiej. Tymczasem przez bierny opór, pracę podziemną, sabotaż, współdziałają w walce i pośrednio przyczyniają się do zwycięstwa Aliantów nad hitleryzmem.

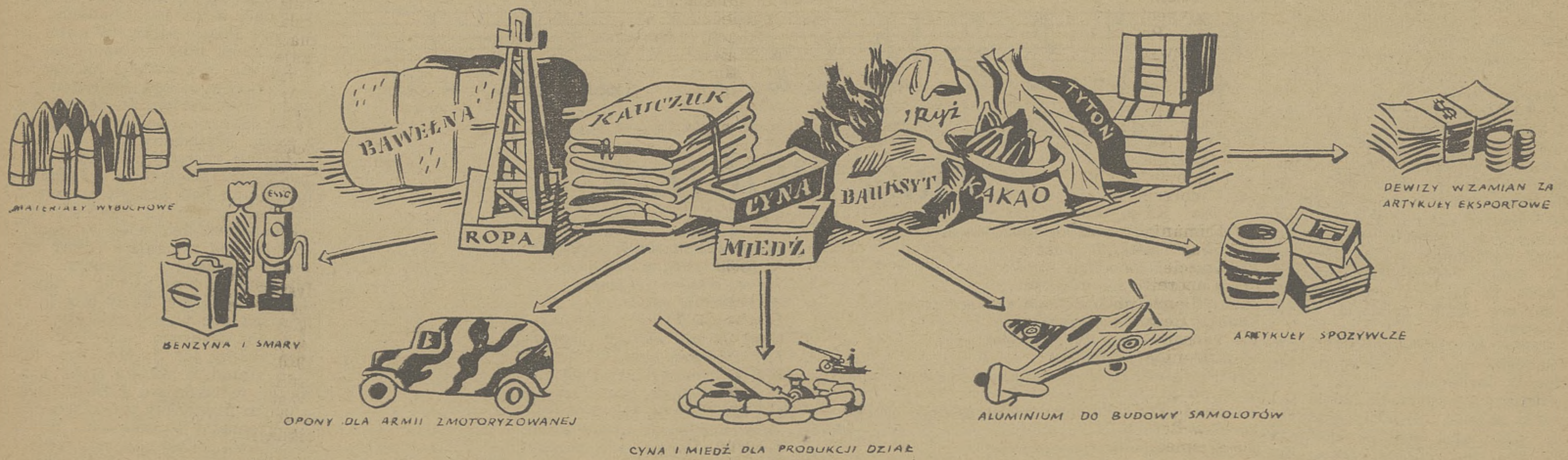

KOLONIE SPRZYMIERZONE DOSTARCZAJĄ WIELU ZASADNICZYCH SUROWCÓW I ZASILAJĄ FUNDUSZ WOJENNY

Mówiąc o sprzymierzeńcach Wielkiej Brytanii nie należy zapominać o Stanach Zjednoczonych—państwie, które oficjalnie jest neutralne, ale udziela jej wydatnej i cennej pomocy w materiale wojennym. Już w najbliższych miesiącach pomoc ta może w sposób rozstrzygający zaważyć na szali wojny. Stany Zjednoczone

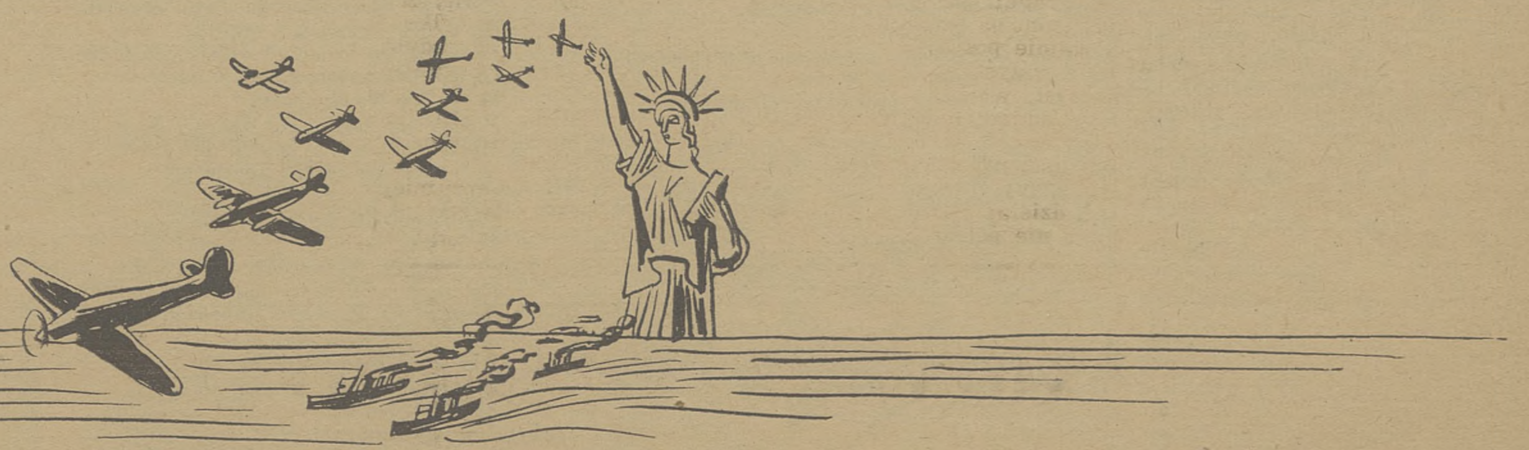

Ameryki Północnej, najbogatszy i najbardziej uprzemysłowiony kraj na kuli ziemskiej zaczyna przestawiać swoje olbrzymie warsztaty—których możność wytwórcza jest prawie nieograniczona—na stopę wojenną, a amerykańskie samoloty i torpedowce już dziś dają się we znaki naszym nieprzyjaciołom w powietrzu i na wodzie.

Ułożyli i rysowali Lewitt i Him

Spojrzenie wstecz

Lata, wieki—to podziałki czysto umowne. Gdy 31 go grudnia z uderzeniem godziny dwunastej przez chwilę gaśnie światło na znak, że to nowy rok się rozpoczyna właściwie nic się nie kończy i nic się nie zaczyna. Jest jednak pewien głębszy sens w tych czysto dowolnych przedziałkach. I dobrze jest czasem przystanąć wśród drogi, by rzucić wzrokiem za siebie na drogę już przemierzoną, by spojrzeć na przód na drogę, która jeszcze jest przed nami.

Przystańmy więc. Tydzień po tygodniu, najpierw w Francji, potem w Anglii staraliśmy się analizować te bieżące zagadnienia, których suma stanowi historię 1940 roku. Pokuśmy się dzisiaj o zbilansowanie ich. Rzućmy na ekran panoramę Europy, tak, jak ona się przedstawia na przełomie roku i postarajmy się tę panoramę odczytać.

KTO BYŁ SILNIEJSZY?

Gdy mówię "panorama Europy," to nieodparcie i natarczywie nasuwa mi się wspomnienie afisza propagandowego, który krzyczał ze wszystkich murów paryskich "*Nous vaincrons, parce que nous sommes plus forts*"—"*Zwyciężymy, bo jesteśmy silniejsi.*" Na afiszu tym małą czarną plamką w środku Europy były Niemcy, zaś olbrzymie czerwoną farbą zamalowane przestrzenie zajmowały ziemie koalicji antyniemieckiej: Francja z jej koloniami, Wielka Brytania z dominiami i koloniami. Nawet w skali europejskiej przewaga—na mapie—była po stronie koalicji antyniemieckiej, w skali światowej zaś pomysł porównania wydawał się groteskowy.

Dzisiaj ta czarna plama niemiecka zajęła prawie cały kontynent europejski. Na czarno trzeba dziś malować i Danię i Norwegię, i Włochy i Rumunię, i Holandię i Belgię, i Francję, Właściwie na czarno trzeba pomalować i Węgry, które przepuściły wojska niemieckie idące do Rumunii i formalnie związały się przymierzem z osią. Zaś jako czynne w tej chwili siły antyniemieckie można by wypunktować, poza wyspą brytyjską, jedynie drobny kraik na końcu półwyspu bałkańskiego: maleńką Grecję.

"Zwyciężymy, bo jesteśmy silniejsi." Jakżeż zawodne okazało się w 1940 roku to hasło. Zawodne, jak linia Maginota.

Prawdą bowiem było, że linia Maginota była jeżeli nie do zdobycia, to w każdym razie do zdobycia jedynie przy niesłychanie ciężkich ofiarach. Ale prawdą było także, że linia Maginota nie osłaniała całej granicy francuskiej i że można było ją obejść.

I prawdą było, że ta niesłychana teoretyczna przewaga materialna, którą rozporządzali alianci, była przewagą jedynie bierną, wymagającą długotrwałej mobilizacji, w polu zaś w uzbrojeniu, w liczbie żołnierza, a przede wszystkim w liczbie aeroplanów przewaga była przez cały 1940 rok po stronie Niemców.

Faktycznie więc w 1940 roku to Niemcy były tym silniejszym, który zwyciężał.

KTO BĘDZIE SILNIEJSZY?

Wojna jednak trwa. I jeżeli 1940 rok przyniósł Hitlerowi panowanie nad całą prawie Europą, jeżeli ta czarna plama niemiecka rozlała się na cały prawie nasz nieszczęsny kontynent, to to jednak zasadniczego stosunku sił nie zmienia. Jest nowa panorama, która stosunek ten dzisiaj obrazuje. To mapka, którą niedawno podał "Evening Standard," gdzie kraje pod władzą Niemiec zaznaczone są barwą czarną, Wielka Brytania i jej dominia kreską poziomą, kraje walczące w przymierzu z Wielką Brytanią kratką, neutralni zaś barwą białą.

Mapka ta jest nieco zbyt optymistyczna. Barwą białą—to jest neutralną zaznaczona jest Francja nieokupowana i kolonie francuskie, wierne rządowi w Vichy. Tą samą białą barwą zaznaczona jest i Japonia. Dalej pierwsze spojrzenie na mapę myli i pod innym względem. Na mapie Australia niewiele jest mniejsza od Europy, a Kanada nieskończenie większa od niej. A wiemy, przecież że ani liczbą ludności, ani potencjałem przemysłowym Kanada i Australia z Europą porównać się nie mogą.

Jeżeli jednak wziąć pod uwagę, że na tej samej mapie kolorem białym, kolorem neutralności zaznaczono Stany Zjednoczone, które dziś pełną parą pracują dla Anglii, albowiem w zwycięstwie Anglii widzą gwarancję własnej wolności, to w sumie stosunek sił *możliwych* jest jednak przez tę mapę dobrze zilustrowany. Może Wielka Brytania dziś jeszcze powiedzieć "zwyciężymy, bo *będziemy* silniejsi."

Będziemy, nie jesteśmy. Nie kłamał afisz propagandowy, pokazując niezmierzoną różnicę potencjału wojennego. Nieścisła była sugestia, że ta różnica już daje przewagę aktualną koalicji francusko-angielskiej. Tak samo nie kłamała linia Maginota, chełpiąc się swą siłą obronną. Ale kłamali ci, co twierdzili, że jej "przedłużenie" jest tak samo murem nie do przebycia.

Będziemy silniejsi. To znaczy, że trzeba dotrwać do tego momentu, gdy ta potencjalna przewaga stanie się przewagą aktualną . Czy historia 1940 roku pozwala nam mieć te nadzieję, że przetrwamy?

PRZEGRANA BITWA HITLERA

Historycy twierdzą, że wojna 1914 roku została wygrana nad

Marną. Bitwa nad Marną—to wrzesień roku 1914. Niedaleko wtedy Niemców odrzucono, zahamowano jedynie ich dojście do Paryża. Potem przez trzy lata Niemcy zwyciężały. Ani system "nadgryzania" marszałka Joffre'a, ani krwawe ofensywy jenerała Nivelle nie potrafiły Niemców wyprzeć z Francji i Belgii. Na Wschodzie załamało się imperium carów i wojska niemieckie były w Rydze i w Kijowie, nad morzem Czarnym i nad morzem Kaspijskim. Załamała się Rumunia i musiała podpisać haniebny traktat pokojowy w Bukarszcie. Załamały się Włochy pod Caporetto i hordy niemieckie zalały Lombardię, jak za czasów upadku Cesarstwa rzymskiego. I na wiosnę roku 1918 ponownie wojska niemieckie podeszły pod Paryż.

A po kilku miesiącach, gdy i cesarz i Ludendorff uciekli, w lasku w Rethondes parlamentariusze niemieccy podpisywali warunki rozejmu podyktowane im przez Focha.

Cztery lata nieprzerwanych zwycięstw. A dzisiaj historycy twierdzą, że wszystkie te zwycięstwa były bez znaczenia, bo to już w roku 1914 nad Marną losy całej wojny zostały przesądzone. Z chwilą bowiem, gdy nie udało się Francji położyć knockoutem, gdy front na Zachodzie skamieniał w wojnie pozycyjnej, z tą chwilą mimo wszystkie sukcesy na innych teatrach wojennych stosunek sił stale zmieniał się na niekorzyść Niemiec. I w końcu zwyciężyli silniejsi: Wielka Brytania, Francja, Stany Zjednoczone.

A dzisiaj? Dzisiaj przecież to, czego nie potrafiła dokonać armia Wilhelma II, zostało dokonane przez armię Hitlera. Zadany został ten straszliwy knockoutowy cios, który Francję wyłączył z walki. Hitler panuje nad portami kanału i armaty jego sięgają Dover'u. Od Nordcapu aż do Bayonny stoją dziś wojska hitlerowskie na straży Europy. Włochy są jego sprzymierzeńcem, po morzu Śródziemnym, które było zamknięte dla Wilhelma II mogłaby buszować flota włoska, gdyby się nie wolała przezornie kryć po portach.

A jednak śmiałbym zaryzykować twierdzenie, że i w wojnie 1940 roku już się rozegrała ta rozstrzygająca bitwa, która przesądziła o losie wojny. Bitwa ta nie rozegrała się na lądzie, ale w powietrzu. Nie pod Sedanem, ani nad Sekwaną, ale nad Tamizą. To sierpniowa i wrześniowa nieudała ofensywa Goeringa na Londyn była Marną 1940 roku.

Mało o niej pisano w gazetach w trakcie gdy się rozgrywała. Komunikaty podawały jedynie dość lakonicznie liczbę aeroplanów niemieckich codziennie strącanych. Gdy bitwa się skończyła, gdy masowe naloty dzienne zostały przerwane, by ustąpić miejsca nalotom nocnym propaganda angielska słabo to podkreśliła. I teraz jeszcze, po kilku miesiącach, nie wszystko jest powiedziane o tych decydujących dniach, teraz jeszcze raczej na podstawie tego, co pisały i piszą neutralne pisma amerykańskie, aniżeli na podstawie tego, co piszą tu na miejscu, można sobie odtworzyć obraz bitwy o Anglię, pierwszej wielkiej bitwy, którą Hitler przegrał.

PRZESŁANKI I PRZEBIEG TEJ BITWY

Gdy Polska leżała powalona w październiku roku 1939 Hitler chciał wojnę zakończyć. Przyszła mowa gdańska von Ribbentropa, przyszła mowa Hitlera, zawierające i groźby i propozycje pokoju. Spotkała ich odmowa. Po powaleniu Francji, Hitler znowu wystąpił w roli anioła pokoju. W wielkiej mowie tłumaczył Wielkiej Brytanii, że właściwie nie ma się o co bić dalej. Wszak on, Hitler, niczego od Wielkiej Brytanii nie żąda. Imperium Brytyjskie jest światu potrzebne. Pocóż je wyniszczać w zbytecznej wojnie. Czyż nie lepiej pogodzić się, pozwalając jemu, Hitlerowi, urządzić nową Europę.

I znowu ze strony Churchilla spotkała Hitlera pogardliwa odmowa. Churchill wie, że pokój zawarty dziś byłby tylko zawieszeniem broni. Że gdyby dać Hitlerowi czas na zorganizowanie Europy, to za lat kilka w imieniu tej właśnie Europy Hitlerowskiej Niemcy by wystąpiły przeciw Wielkiej Brytanii.

I wtedy Hitler rozumiejąc, że podbój Europy nie złamał oporu brytyjskiego, rozumiejąc, że wojna nie może być i nie będzie skończona, póki Wielka Brytania nie będzie nie tylko pobita, ale i *podbita*—zdecydował się na zastosowanie raz jeszcze tej samej metody, którą zdobył i Polskę, i Belgię, i Holandię, i Francję: na próbę *Blitzkriegu.* Jakiż bowiem był cel tych masowych nalotów dziennych? Cel był podwójny. Szło oczywiście o złamanie morale narodu angielskiego, o wywołanie pędu do pokoju, tego pokoju, który Hitler w tak ponętnych dla Anglii kolorach malował. Ale szło i o coś innego, dużo konkretniejszego. Szło o takie zniszczenie lotnictwa angielskiego, by nie mogło ono już przeszkodzić inwazji Anglii.

Że inwazja ta była nie tylko planowana, ale i zupełnie przygotowana o tym dzisiaj trudno wątpić. Wiemy na podstawie późniejszych, znacznie późniejszych komunikatów angielskich i na podstawie doniesień korespondentów amerykańskich, że w portach francuskich i belgijskich zgromadzona już była flotylla inwazyjna. Że na tych statkach i stateczkach czekały już załadowane wojska. I wiemy także, że w tym momencie uzbrojenie Anglii przechodziło punkt kryzysowy, albowiem w Francji stracono olbrzymią ilość materiału wojennego.

A jednak do inwazji nie doszło. Nie doszło nie tylko dlatego, że ataki lotnicze na Londyn spaliły na panewce, że RAF miał stałą przewagę w powietrzu. Ale i dlatego, że flotylla inwazyjna została zniszczona. Kiedyśmy czytali wówczas dzień po dniu, że RAF bombarduje "porty inwazyjne" to nie wiedzieliśmy, że to oznacza nie tylko bombardowanie urządzeń portowych, ale także bombardowanie statków i wojsk, które czekały na rozkaz inwazji Anglii. Rozkaz, który nigdy nie przyszedł.

Czy znaczy to, że próba inwazji nie może być już powtórzona? Oczywiście, że nie. Ludendorff jeszcze w roku 1918 próbował dojść do Paryża. Ale znaczy z całą pewnością, że pierwsza próba inwazji się nie powiodła, że taktyka *Blitzkriegu* po raz pierwszy zawiodła. A dzisiaj o inwazję pokusić się jest trudniej, aniżeli to było we wrześniu, jutro trudniej będzie, niż dzisiaj. Siły brytyjskie wzrosły i wzrastają z dnia na dzień, stosunek sił w powietrzu z dnia na dzień staje się mniej niekorzystny dla nas. Wybór Roosevelta zagwarantował bezwzględnie pomoc amerykańską.

OD DEFENSYWY DO OFENSYWY

Rząd Churchilla jest ostrożny w wypowiedziach. Nauka kampanii norweskiej, gdzie zbyt lekkomyślnie rozreklamowano lokalne zwycięstwa, nie licząc się z całokształtem kampanii, nie poszła w las. Raczej za mało się dzisiaj podkreśla sukcesy, niż za mocno. Komentarzem oficjalnym do bitwy o Londyn są jedynie słowa Churchilla, że nie było może wypadku, kiedy tak wielu tyle miało do zawdzięczenia tak małej ilości ludzi. Ale czyż nie jest charakterystyczne, że jeżeli przed bitwą o Londyn ministrowie mówili jedynie o konieczności bronienia się z całą zaciętością właściwą charakterowi angielskiemu, to dzisiaj i Churchill i Eden podkreślają, że muszą budować wielką armię lądową, na to by z nią wyjść na kontynent, i go uwolnić od Hitlera. Czyż to przejście z nastawienia obronnego na ofensywne nie mówi nam, że w pojęciu tych, co Anglią rządzą bitwa o Londyn istotnie była bitwą przełomową?

A jakżeż się zmieniła sytuacja na Morzu Środziemnym! Natychmiast po upadku Francji Rumunia poddała się bez walki. Król Karol zgodził się na oddanie Bessarabii Rosji, na oddanie Dobrudży Bułgarii, na oddanie Siedmiogrodu Węgrom. Poczem musiał ustąpić miejsca niewątpliwym ajentom hitlerowskim i Rumunia stała się krajem wasalnym Niemiec.

W Afryce Mussolini prawie bez oporu zajął Somalię brytyjską i po krótkich walkach usadowił się na ziemi egipskiej w Sidi Barani i w Sollumie. A Egipt mimo naruszenia swego terytorium pozostał neutralny. Anglia, w defensywie na wyspie, musiała być w defensywie i na Wschodzie. Upadek Francji, zniknięcie armii Weyganda z Syrii, tej armii, która zajmowała kluczową pozycję, oddanie Somalii francuskiej z Dżibuti do dyspozycji Włochów uniemożliwiło jakąkolwiek bądź akcję. Zapytywano z niepokojem, czy jeżeli armia Grazianego ruszy z zapowiadaną ofensywą—Egipt da się utrzymać, czy szczupłe siły angielskie będą się mogły oprzeć.

Dzisiaj jakże jest inaczej. Grecja bez chwili wahania wybrała wojnę. I wojna ta jak dotąd toczy się zwycięsko. Już trzecia część Albanii jest w ręku greckim i nie jest niemożliwością, że Włosi będą się musieli wycofać z całej Albanii.

W Egipcie zaś to nie marszałek Graziani ruszył na wyprawę zdobywczą ku Suezowi. Rozpoczęła się ofensywa brytyjska i w chwili, gdy piszemy, już Sidi Barrani jest z powrotem w ręku angielskim, już są tysiące niewolnika włoskiego. To znaczy, że została zapełniona luka, którą wyrwała kapitulacja Francji. To znaczy, że dowództwo angielskie czuje się na siłach by w swoje ręce wziąć inicjatywę. I, prawdopodobnie lada dzień usłyszymy o uderzeniu w kierunku Abisynii. Wszak cesarz Haile Selassie czeka w Sudanie na tę chwilę, gdy będzie mógł lud swój poprowadzić do nowej walki z najeźdźcą.

JEST LEPIEJ, NIŻ PRZED ROKIEM

Bezpośrednio po bitwie o Londyn sytuację charakteryzowano w sposób następujący. Jest nieskończenie gorzej, niż w styczniu 1940, i o wiele lepiej niż w lipcu 1940. Formuła ta stwierdzała po prostu, że Wielka Brytania nie uznała się za zwyciężoną, czego można się było obawiać po kapitulacji Francji.

Dzisiaj na przełomie roku można by prawie powiedzieć, że sytuacja jest lepsza, niż w styczniu roku 1940. Brzmi to paradoksalnie, gdy się przypomni zmiany w mapie Europy, które przyniósł rok 1940.

A jednak. Przecież jeżeli i marzec, i kwiecień, i maj i czerwiec roku 1940 były tak tragiczne, to nie dla czego innego, tylko dlatego, że w styczniu tego roku było tak źle. Wojna bez wojny nie tylko zdemoralizowała żołnierza francuskiego na froncie. Demoralizowała ona cały wysiłek wojenny i Francji i Anglii. Nastawienie na to, że czas pracuje dla sprzymierzeńców, że blokadą da się Niemcy zmusić do pokoju było zaprzeczeniem możliwości zwycięstwa.

Przebudzenie się było straszne. Ale to przebudzenie dopiero stworzyło przesłanki zwycięstwa. W niniejszym artykule analizowaliśmy je z punktu widzenia strategicznego. W następnym postaramy się rozważyć sytuację dyplomatyczną i sytuację w krajach podbitych.

Czesław Poznański

Ukazał się
KALENDARZYK KIESZONKOWY NA ROK 1941
Cena 1/9 (w oprawie skórkowej 2/6)
M. I. KOLIN (Publishers) Ltd., 36, Great Russell Street, London, W.C.

Echa zwyciestw greckich

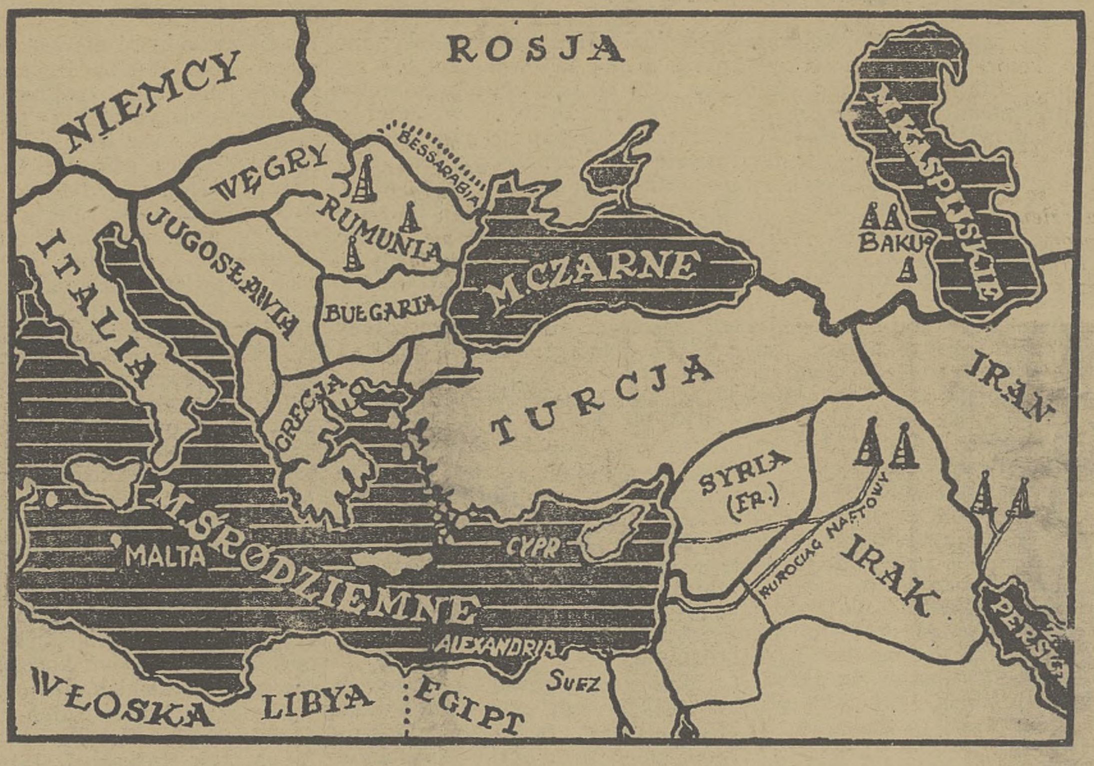

Zwycięskie wyczyny armii greckiej, godne najwspanialszych tradycji starożytnej Hellady, zaskoczyły nie tylko opinię W. Brytanii i Włoch, ale w dużym stopniu pokrzyżowały misternie snute plany Hitlera.

Jeżeli idzie o opinię angielską, to mówmy otwarcie, odrzucenie przez premiera Metaxasa ultimatum włoskiego 28 października, wywołało dość chłodny entuzjazm. Brano pod uwagę ogromną przewagę włoską oraz zdawano sobie sprawę z konieczności dotrzymania danej Grecji gwarancji.

Dopiero po paru tygodniach walk i nieustannych sukcesów greckich, opinia angielska zaczyna sobie powoli zdawać sprawę z tego, że właśnie wybrzeże i lotniska albańskie odbierane Włochom, mogą stanowić znakomitą bazę wypadową przeciwko nim—opinia a również i wybitni mężowie stanu, np. ostatnio Amery i Hore-Belisha domagają się co raz energiczniej uderzenia na Włochy. Ujawnia się co raz bardziej, podobnie jak to było z armią czerwoną w czasie kampanii w Finlandii, słaba wartość armii włoskiej.

Jeżeli idzie o opinię na półwyspie apenińskim to na razie trudno zdać sobie dokładnie sprawę z reakcji społeczeństwa włoskiego. Zapewne nie widzi ono dokładnie rozmiarów klęsk lądowych i morskich swojej armii i floty. Być może dymisja marszałka Badoglio, będzie jednym z poważniejszych wstrząsów, w szczególności w kołach wojskowych. Dalsze klęski militarne oraz wzmagające się trudności aprowizacyjne wytworzą na całym półwyspie apenińskim atmosferę wysoce naładowaną elektrycznością. Jeżeli idzie o Mussoliniego, to pomijając już jego wzrastające kłopoty wojskowe oraz wewnętrzno-polityczne, zwycięstwa greckie osłabiają jego pozycję wobec Hitlera jako partnera osi, jak również jego pretensje terytorialne.

Jednakże, jeżeli idzie o wpływ na przebieg wojny, to zwycięstwa greckie przewracają wszystkie starannie opracowane wspólne włosko-niemieckie plany operacyjne oraz zagrażają fundamentom budowanego z takim nakładem energii, gmachu "Nowej Europy" . . .

Zgódźmy się z tym, że ofensywa na Grecję jest niewątpliwie jednym z etapów ogólnego planu, uzgodnionego pomiędzy Hitlerem a Mussolinim w czasie spotkania na Brennerze a następnie pomiędzy marszałkami Badoglio i Keitlem w Innsbrucku. Plan ten miał na celu opanowanie Suezu i Gibraltaru i w konsekwencji otwarcia sobie drogi do tak upragnionych pól naftowych Iraku i Iranu.

Wiadomości prasowe, jakoby Mussolini przedsięwziął operację grecką na własną rękę, są oczywiście pomysłem propagandy niemieckiej obliczonym na zbałamucenie naiwnych. Cały szereg uprzednich pociągnięć wojskowych i politycznych wykazuje logiczny związek z operacją włoską w Albanii. Opanowanie brytyjskiego Somali miało na celu utrudnić dopływ posiłków dla armii brytyjskiej w Egipcie. Ofensywa Grazianiego miała odciągnąć uwagę Anglików od kierunku Kassala-Khartoum, gdzie Włosi zaczęli koncentrować poważniejsze siły. W tym samym czasie. Niemcy koncentrują w Rumunii paręset tysięcy wojska, a jednocześnie południowa Hiszpania zaludnia się dziesiątkami tysięcy młodych "turystów" niemieckich. . . .

Zajęcie Grecji—wedle przewidywań włoskich raczej tryumfalny marsz—miało być krokiem do urzeczywistnienia tego planu—miało podsunąć bazy lotnicze w kierunku na Syrię i umożliwić jej opanowanie. Usadowienie się wojsk niemieckich i włoskich w Syrii otwierało drogę do Iraku a jednocześnie stawiało wojska angielskie w Egipcie w sytuacji bardzo krytycznej. . . . Dyplomacja niemiecka i propaganda, które zawsze starannie przygotowują drogę Reichswehrze do łatwego zwycięstwa, miały właśnie w tym czasie przez nagłe wyciągnięcie na światło Boże dawnych pretensji terytorialnych Bułgarii do Grecji, zapewnić Niemcom możność przemarszu przez Bułgarię w kierunku na Saloniki. . . . Jednocześnie w tymże czasie zręczny v. Papen usiłuje zapewnić neutralnosć Turcji a Ribentropp uzyskuje jeden ze swoich największych sukcesów—przyjazd Mołotowa do Berlina. . . .

W okresie— poprzedzającym rozpoczęcie niefortunnej dla dyktatorów kampanii greckiej i w jej początkowej fazie, Hitler gorączkowo realizuje swój olbrzymi manewr propagandowo-polityczny: tworzenie na gruzach pobitej i okupowanej Europy, swojej "Nowej Europy". . . . Powtarza się, tylko na większą skalę i w tempie przyśpieszonym historia Kongresu Wiedeńskiego, gdzie Hitler odgrywa rolę Aleksandra I, a Ribentropp zaćmiewa Metternicha przebiegłością intrygi dyplomatycznej. . . .

Czy to na skutek nacisku, czy też krótkowzrocznej spekulacji politycznej, trzej nowi partnerzy wchodzą z zachowaniem tradycyjnego ceremoniału w poczet członków trójkąta Berlin-Rzym-Tokio; a propaganda niemiecka zapowiada w najbliższym czasie przystąpienie Bułgarii i Hiszpanii. Jednocześnie Hitler i R[illegible]ntropp odbywają szereg spotkań i rozmów w różnych miejscowościach Europy z Franco, Ciano, Serano Suner 'em a wreszcie z zaprzedanym Niemcom, Lavalem.

Koroną tych rozmów i szacherek ma być utworzenie na terenie Europy federacji państw totalitarnych oraz podział kolonji afykańskich. Federacja ta wspólnie z Rosją i Japonią ma stworzyć Blok Eurazjatycki, decydujący o losach kuli ziemskiej. O tym, że federacja ta ma być jedynie formą przejściową—aż do utworzenia nowego Imperium Germanicum po pobiciu znienawidzonej Anglii—o tym propaganda niemiecka, oczywiście nie wspomina.

Utworzenie tej federacji w Europie ma na celu wykazanie światu a przede wszystkim Stanom Zjednoczonym a następnie narodom Europy —i wreszcie społeczeństwu brytyjskiemu, że jedyną przeszkodą do zawarcia stałego pokoju—jest stojąca u brzegu klęski—W. Brytania. . . . Zajęcie Grecji przez Włochy, miało właśnie w konsekwencji wytworzyć korzystną atmosferę dla urzeczywistnienia wojskowych i politycznych planów Hitlera. Byłoby też dostatecznie wymownym argumentem, aby rozwiać resztki obaw ostrożnego Franco.

Zwycięstwa greckie, które zdumiały cały świat, stargały całą tę misterną pajęczynę planów Hitlera . . . . Przede wszystkim zmieniły one poważnie dotychczasową proniemiecką postawę Bułgarii. Przyczyniły się do tego też sztywniejące względem Niemiec stanowiska Turcji i Jugosławii. Okryte są tajemnicą rozmowy króla Borysa z wysłannikiem Kremlu, Sobolewym w Sofii. . . . W każdym razie do zapowiadanej z takim rozgłosem wizyty rządców Bułgarii w Niemczech nie doszło, jak również i nie odbyło się przystąpienie Bułgarii do osi. Ewentualne przepuszczenie wojsk niemieckich przez Bułgarię w kierunku na Saloniki jest także bardzo wątpliwe. Staje się natomiast co raz bardziej prawdobodobne utworzenie Ententy Bałkańskiej-tym razem związanej sojuszem militarnym. . . . W razie dojścia do skutu tego związku, powstanie potężny blok państw, najeżonych bagnetem w stronę Niemiec i Włoch. . . .

Również i na drugim końcu Europy—w Hiszpanii, skąd wedle planów Hitlera miałoby wyjść uderzenie niemiecko-hiszpańskie na Gibraltar a następnie wspólnie z Grazianim na Suez—nastroje zmieniają się poważnie. . . . Proniemiecki Suner, który marzy o odrodzeniu dawnej potęgi Hiszpanii na gruzach W. Brytanii, znajduje co raz silniejszą opozycję w kołach karlistów hiszpańskich—partia ta ma licznych zwolenników w kołach wojskowych a w szczególności w otoczeniu Franco. W tej atmosferze nawet i sam przemarsz wojsk niemieckich skoncentrowanych na granicy Pirenejów staje się co raz mniej prawdobodny.

Również i na terenie powolnego dotąd rządu Vichy, Hitler pomimo nieustannych wysiłków Lavala, zaczyna powoli napotykać na różne trudności. Uzyskanie przez niego zarówno floty francuskiej, jak i baz morskich staje się co raz bardziej wątpliwe. W ten sposób—na drogach wojsk niemieckich i włoskich na Suez—zaczynają się piętrzyć nieoczekiwane przeszkody. . . .

Trudno na razie przewidzieć jaka będzie reakcja Hitlera oraz jego nowe postanowienia. Nie ulega jednak wątpliwości, że zarówno pod względem wojskowym, jak i politycznym sytuacja dla niego przedstawia się o wiele gorzej, aniżeli przed rozpoczęciem przez Włochów ofensywy w Grecji.

Nie będzie może wobec tego przesadnym optymizmem, twierdzenie, że właśnie w górach Hellady kiełkuje kwiat ostatecznego zwycięstwa. . .

Eugeniusz Hinterhoff

Przegląd polityczny

Pisaliśmy w poprzednim przeglądzie o zwycięstwach Greków w Albanii. W ślad za nimi przyszły zwycięstwa Anglików w Egipcie. Dzisiaj bez żadnej przesady, można mówić *o katastrofie włoskiej*, której następstwa prędzej czy później zaciążą nad przebiegiem wypadków nie tylko wojennych, ale i politycznych. W Albanii Włosi rozpoczęli ewakuację najważniejszego portu, ktory panuje nad cieśniną Otranto i stanowi kluczową pozycję strategiczną na Morzu Adriatyckim. Mamy na myśli Valonę, zbombardowaną uprzednio przez R.A.F. W zachodnim Egipcie armia Graziani'ego poniosła olbrzymią klęskę, tracąc kilku generałów, cały sztab korpusu i blisko 40,000 jeńców.

Klęska włoska nie da się wytłomaczyć wyłącznie tylko dzielnością wojsk angielskich i dzielnością ich dowództwa. Włochy faszystowskie przygotowywały się do walki w Libii od dawna. Miano ją prowadzić na dwa fronty—od strony Tunisu i od strony Egiptu. W tym celu przeprowadzono całą linię fortyfikacyj na wschodzie, umacniano garnizony na zachodzie, a od granicy tunetańskiej do egipskiej poprowadzono wspaniałą szosę automobilową, uzupełnioną licznymi drogami strategicznymi. Miała ona zapewnić możność przerzucania wielkiej ilości wojsk, zależnie od planu koncentracyjnego i przebiegu działań wojennych. W czasie wojny 1939 i 1940 zmasowano w Libii najlepsze wojska włoskie, rozporządzające kilkoma dywizjami motorowymi i bardzo silnym lotnictwem. W końcu kwietnia br. mówił Mussolini, że "*pozycje nasze w Libii, od dawna starannie przygotowywane, pozwalają na stwierdzenie z całym spokojem, że jakikolwiek atak, ze wschodu czy zachodu, a nawet równocześnie z obu stron—nie ma najmniejszych szans powodzenia.*"

Tymczasem okazało się, że sam tylko atak angielski zdołał w przeciągu kilku dni zlikwidować wszystkie "sukcesy" Grazianiego, i wyrzucić bardzo silne wojska włoskie z Egiptu. Mamy bardzo poważne dowody na to, *że społeczeństwo włoskie poszło na wielką awanturę Mussoliniego z ogromną niechęcią,* że wojna ta jest niepopularna zarówno w masach, nastrojonych co raz to bardziej opozycyjnie wobec rządu, ale nawet w dużej części partii faszystowskiej.

Jeden z korespondentów amerykańskich porównuje nawet obecną sytuację we Włoszech do tej, jaka wytworzyła się w Niemczech przed słynną "czystką" hitlerowską w czerwcu 1934. Dymisje generałów i zmiany na różnych, ważnych stanowiskach administracyjnych mają zapoczątkować nowy okres polityki "bardzo silnej ręki." *Chodzi po prostu o całkowite już poddanie całego życia kraju kontroli niemieckiej.* Na tym tle mnożą się pogłoski o jakoby projektowanym *zajęciu przez Niemców całych Włoch.* Ten sprzymierzony z Trzecią Rzeszą kraj zaczyna nie na żarty niepokoić Berlin i przysparza Hitlerowi więcej w tej chwili trosk, aniżeli pokonana Francja.

Było by niewłaściwe twierdzenie, że stoimy w przededniu rewolucji na półwyspie apenińskim. Odurzane przez dwadzieścia lat społeczeństwo tylko z wielkim trudem i powoli może przyjść do siebie i odzyskać własny, łaciński, a zawsze trafny instynkt państwowy czy narodowy. *Ale te klęski w Albanii oraz Libii są pierwszymi zapowiedziami zmierzchu faszystowskiej dyktatury w Italii.* Nie jest wykluczone, że dzięki pomocy Niemców, Mussolini zdoła chwilowo powstrzymać atak angielski i grecki. Ale sam fakt, że mimo ogromnej przewagi liczebnej, wojska faszystowskie ponoszą klęskę za klęską—musi prędzej czy później zaważyć na dziejach Włoch a pośrednio również na historii przyszłej Europy.

Nie jest dzisiaj dla nikogo tajemnicą, że wystarczyłoby jedno, silniejsze uderzenie od strony Tunisu, aby w ogóle zlikwidować całą armię włoską w Afryce. Wiedzą o tym Francuzi *i kto wie, czy klęski włoskie nie zadecydowały o ustąpieniu Lavala i powołaniu na jego miejsce Flandina.*

Rola Lavala w polityce francuskiej w ogóle, a w rządzie Pétaina w szczególności, jest znana. Słynne są jego słowa, w których stwierdzał, iż "*więcej obawia się rewolucji społecznej we Francji, aniżeli Niemców.*" Był jednym z głównych czynników, które zadecydowały o kapitulacji rządu i armii, jakkolwiek wszystkie szanse obrony nie zostały jeszcze wykorzystane. Szedł w kierunku najdalej idących ustępstw wobec Niemiec; usiłował, stosując nowe metody w polityce zagranicznej i wewnętrznej, ratować resztki pojęć francuskiego państwa. Był to polityk o wybitnie nieszczęśliwej ręce, ale przynajmniej dobrej wiary i mający jakie takie poczucie godności narodowej.

Natomiast Flandin, uchodził jeszcze przed wojną, za agenta Niemiec. Jego defetyzm stał się we Francji przysłowiowy. I tak np. słynna jest owa depesza Flandina do Hitlera, z zapewnieniem "uczuć, przepojonych sympatią i pragnieniem pokoju" —w rozstrzygających dniach wrześniowych w 1938 roku, kiedy Francja mobilizowała przeciwko Niemcom, a ówczesna piąta kolumna francuska robiła wszystko, co było w jej mocy, aby do tej mobilizacji nie dopuścić. W czasie wojny, Flandin, pozostawał pod nadzorem policyjnym, a jego intrygi polityczne osłabiały w wysokim stopniu wiarę w niespożyte siły Francji. Po katastrofie czerwcowej, której jednym z najwybitniejszych twórców był były premier Flandin należał on do tz. "trójcy hitlerowskiej" we Francji. Stanowili ją: Flandin, Doriot i Déat.

I ten Flandin został dzisiaj ministrem spraw zagranicznych. Dlaczego? Odpowiedź prosta: nacisk Niemiec. Laval—mimo wszystko — był człowiekiem, mającym jeszcze pewne skrupuły. Klęski włoskie wywołały olbrzymie echo w społeczeństwie francuskim, które po tym strasznym ciosie w czerwcu 1940, zaczyna przychodzić do siebie. Na ulicach Paryża zaczęły się manifestacje na cześć de Gaulle'a. Doszło do zaburzeń, kilka osób zabito, kilkaset aresztowano. W Afryce panuje wrzenie, mogące przybrać całkiem niepożądane dla Hitlera rozmiary. *Niemcom potrzebny był człowiek, który, w razie polecenia z nad Sprewy-pójdzie "na całego."* I Abetz, były szpieg a dzisiaj ambasador niemiecki przy rządzie w Vichy—otrzymał rozkaz przeprowadzenia nominacji Flandina. Jak już wspomnieliśmy, rząd marszałka Pétain nie przysparza kłopotów Hitlerowi.

Oczywiście, cały ten rząd w Vichy będzie rządził Francją tylko tak długo, jak będą chcieli Niemcy *—a raczej jak długo będą wojska niemieckie we Francji.* Społeczeństwo francuskie ponosiło klęski, ale ich nie zapominało i do nich się nie przyzwyczajało. Przebudzenie wielkiego narodu, może nadejść szybciej, aniżeli to przypuszczają ludzie, nie mający pojęcia ani o psychice, ani o tych pokładach energii, jakie drzemią w duszy francuskiej. A wówczas sytuacja Niemiec może się stać na prawdę krytyczna. *Silna Francja niezbędna jest Europie, a więc i Polsce.* Naszym sprzymierzeńcom, których honor uosabia świetna armia generała de Gaulle—możemy życzyć tylko, aby jak najszybciej zrozumieli, iż "*lepiej śmierć w polu, niż ich pomoc zyskać — lepiej żelazo rozpalone w dłoni, niźli krzyżacką prawicę uściskać.*"

tk

Z życia obozów

Wigilijna warta

Brrr . . . zimno, ale nie takie jak u nos! Psiojucha nawet zima u nos jakoś lepso.—Zaroz, jak se tak stanie, to tu słonko zachodzi, to znacy, ze na lewo wschodzi, acha znacy jak tak stane to tu na lewo nizy bedzie chałupa, akurat jak ta gwiozda bedom góry, a tu kościoł, a w dolince rzyka.

Oprócz zimna wszyćko jak u nos, a nawet ludzie te szkoty takie dobre jak nasi. Pamietom jak ino pirso gwiozda zaświciła Franek przylatywoł z obory i wrzescoł, ze już mozno zacynać jeść. Dziołchy przed wigilijom leciały do płotu i na chybił trafił łapały pirsy lepsy kołek i z tego se wrózyły, że jak która złapi olsowy to na nowy rok sie wydo i bedzie miała męza kawalyra, jak wiyrzbowy to gdowca jak ołupiony ze skóry to dostanie takiego co jom bedzie ino cięgiem proł i łupił ze skóry.

A późni wiecerzo, ej dobro była a kluski z makiem a piyrogi z kapustom, a grochówka, a cedznielijakie cejca z cejcem, że cłek nie wiedzioł za co piyrwy chytać. Matusia co przyniesła miske z jodłem, to kładła na opłatek, jak sie przylepił, to se wrózyła, ze to jodło nojlepi się urodzi w lecie. Ciesyło sie matcysko, bo do każdy miski z jodłem, co my z Frankiem lubieli przyklejony był opłatek tylko do kapusty, przy który Franek zawse rozsuwoł nosem, nie był przylepiony. Matusia sie zasmuciła, ze nie bedzie ale była, na psa urok, jak końskie łby, ino ze i tak pociechy z ni nie było, bo jom niemcy bombami sprały, bo se myśleli ze to wojsko.

O północce tak wyfutrówani poślimy do stajni kaj woły stoły i legli pod złobem, bo tata pedzieli, ze bydło w te nocke bożom gwarzy. Ze ino kukułka wykukała północ usłyselimy, jak sie tata gramolili po drabinie na powałe. Nos śmiych zebroł, a i złość troche, bo choćmy ta ojca lubieli i ojciec nos to ta dziwok byli i nie chcieli sie zgodzić, coby sie Franek z Kasiom ozenił i zapisywoł mu ino dwa morgi pola. Cekomy tak pod złobem, tata sapiom, woły tys, tak jo udaje woła i godom—bee... Krasy bee . . . coś mi sie widzi ze z nasem gospodorzem źle . . . beeee . . . Łysy i mnie sie tak widzi, ze jak sie nie zmieni to go powieziemy w nowy rok na Jadamowom role beee . . . uwzion sie na Franka, a Kasia przecie dobro bedzie żona, a on nie dwóch morgów, ale dziesięciu wort chłop, beee. . . .

Tata zakląt az sie woły zdrygły, ale na nowy rok zapisali Frankowi Zolesie, Pastyrnik i Uwrocie i z Kasiom sie pozwolili ożenić. Dobry ociec był, a jak się gniwali to sie im wąsiska trzęsły jak panu kapitanowi kiej romteresi na nos, a jak sie rozrzewnili to tak, jak nas szef wąsiska ino targali a krząkali.

Ej Boze, pamiętom krząkali tata w ostatniom wigiliją kiej sie z nami łomali opłatkiem, życyli mi dobry baby, takom jak matusia i zebym był pracowity, dorobiół i wójtem ostoł. Tatusiu Matusiu!—naraziem się dorobiół starszego ułana, a wnetki sie dorobie tego do cego tu kazdy żołmirz w Szkocji i wy napewne wdychocie.

Choć z daleka, ale mnie usłysycie, więc Wom życe tak jak casem matuś mi godała " jak ci biyda bedzie to ino zaciś zęby i pięści a skup sie w sobie a zaprzyj sie a wytrzymos i docekos sie cego chces." Matusiu wiem. ze nimocie grochówki, ani piyrogów w te wigilijom, ale wnetki na mojem weselu sie odbijemy ze z tydzień bedziewa ino stękać.

Rozmyślania Józusia przerwał śpiew. . . .

Bóg się rodzi moc truchleje
Pobłogosław Polsce Boże
Niech nadzieja zajaśnieje
Niech wolności zejdą zorze
Znękaną i w kir spowitą
Wskrześ Ojczyznę okryj chwałą
A słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Z obozu polskich, żołnierzy w Szkocji płynęła pieśń tak, jak tam daleko z tego małego kościółka w Polsce. Melodia ta sama, ale słowa . . . tych nie śpiewają głośno, jeno dusza klęcząc jak w tej chwili Józuś prosi o jedno i to samo Boga Nowonarodzonego, co wszystko może.

Józuś spod Wydarty

Marian Smarzewski: W stajence

PRZED STAJENKĄ

Przed Stajenką ubożuchną
skłońmy się ładnie.
Zapomnijmy, że ktoś jutro
kogoś okradnie,
zamorduje, zabombuje—
a może . . . może
w ludzi znów się zmienią zbóje,
o, dobry Boże!

JASNA GWIAZDECZKO

Jasna gwiazdeczko w wysokim niebie,
błyszczące oko Bożego raju,
daj nam przy białym opłatka chlebie
spojrzeć przez chwilę na bliskich w kraju.

Wzrok im rozjaśnić naszym orężem,
pokazać, żeśmy do zwycięstw zdolni,
i tak powiedzieć: że nie polężem,
dopóki oni nie będą wolni.

Antyk

REDAKCJA "POLSKI WALCZĄCEJ" PRZESYŁA NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE CZYTELNIKOM, WSPÓŁPRACOWNIKOM I PRZYJACIOŁOM PO TEJ I TAMTEJ STRONIE KANAŁU, PO TEJ I TAMTEJ STRONIE OCEANU.

LIST ŻOŁNIERZA

Niechaj w pierwszych słowach listu,
Ojcze, Matko, Siostro, Żono,
Pochwalony będzie Chrystus
Matka Boska, pochwaloną.
O najdrożsi! Z mojej drogi
Wiele listów Wam wysłałem,
Czy z nich który w Wasze progi
Doszedł—nie wiem?
Sercem całem
Jestem z Wami. W dnie i noce
Myślę o tym, jak żyjecie
Zniewoleni przez złe moce
Co bezkarnie rządzą w świecie.
W tę niedzielę, jakżeż z Wami
Chciałbym razem do kościoła
Iść polnymi ścieżynami
Wśród szumiących zbóż dokoła!

Jakżeż chciałbym tam dziś z Wami
Klęczeć w chwili podniesienia
I słać razem z organami pod niebiosa swoje pienia! . . .

Jakżeż chciałbym cichą nocą
Na chałupy siadłszy progu
Patrzeć w gwiazdy co migocą
Takie, zda się bliskie Bogu . . .
Chciałbym . . . Chciałbym . . .
Teraz mogą
Tylko tęskne myśli moje
Do was płynąć duchów drogą.
Więc dlatego codzień roje
Ich wysyłam w wasze strony.
Ani góry, morza, lasy,
Ani czasu bieg szalony,
Ani innych światów krasy
Nie zdołają w mej pamięci
Zetrzeć nawet pyłów ziemi,
Które wiatr po drogach kręci
Podmuchami gwałtownemi
I choć los mi zmieniać każe
Prawie co dzień ścieżki życia
I prócz smutku nic mi w darze
Nie dał dotąd do wypicia,
Bądźcie pewni, że gdy minie
Zima, a nadejdzie lato
Mnie ujrzycie na drożynie
Biegnącego do swej chaty—

Paweł Kulesza

Obóz Polski.

Echo wizyty

Dnia 4 bm. kpt. McGregor ze *Scottish Command* wręczył dcy IIgo Korpusu pamiątkową skrzynkę srebrną jako dar od brytyjskich i amerykańskich korespondentów wojennych, o których wizycie pisaliśmy obszernie w nr. 38 " Polski Walczącej ";

Napis na skrzynce brzmi: " Niech żyje Polska! Od korespondentów wojennych Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych—oficerom Korpusu Polskiego w Szkocji w podzięce za ich gościnność i serdeczność. 10. XI. 1940."

Wręczając skrzynkę kpt. Gregor zameldował, że ma ona już swoją historię. Mianowicie napis na tej skrzynce wyryty był w Edinburghu przez pracownika jednej z tamtejszych firm jubilerskich. Celem wykończenia skrzynki a mianowicie wyłożenia jej drzewem cedrowym przesłano ją do Birmingham. W tym czasie Birmingham był głównym celem bombowców niemieckich i zakład jubilerski uległ zniszczeniu przez nieprzyjaciela. Skrzynka pozostała nietknięta. W dołączonym do skrzynki opisie tego wypadku czytamy: " Napis na skrzynce—Niech żyje Polska — nienaruszony błyszczał, tak jak duch Polski i jej sprzymierzeńcow pozostał nienaruszony hitlerowskimi próbami zastraszenia. Niech więc ta skrzynka pozostanie znakiem woli zwycięstwa a ocalenie hasła —Niech żyje Polska—będzie dobrym prognostykiem dla walczącego o wolność wojska polskiego."

Obchód rocznicowy

Już po raz drugi na tułaczce obchodzi żołnierz polski rocznicę zbrojnego porywu do walki o wolność roku 1830: rok temu- wśród przygnębienia i prawie beznadziei w obozach na Węgrzech, w Rumunii, bądź też na Litwie—i dziś już z bronią w ręku na straży wybrzeża Szkocji.

Obchód rocznicy powstania listopadowego w naszym Dywizjonie był przede wszystkim uzewnętrznieniem dobrego nastroju i mocy ducha naszej braci żołnierskiej; zasadniczą nutą wykonanych utworów była chęć walki i wola zwycięstwa oraz tęsknota za Ojczyzną.

Pomimo intensywnych ćwiczeń i pogotowia bojowego, żołnierze nasi w przeciągu kilku dni własnymi siłami przygotowali bardzo obfity program artystyczny. Wykonało go około 30 podoficerów i strzelców. Uroczystość tę uświetnili jeszcze niespodziewanie dla nas przybyli: członek Rady Narodowej, mec. Banaczyk, oraz oficerowie z Dowództwa Korpusu.

Wieczór rozpoczął pchor. Ch . . ., przedstawiając w streszczeniu bardzo ciekawie okres 1830-31 r. w Polsce. Następnie dobrze spisał się chór żołnierski I szadronu, który wykonał kilka pieśni o pancernych: " Żołnierze tułacze," " Pędzi czołg mój " i " Powrót do Ojczyzny." Śpiewał potem udatnie mały chór II szwadronu, następnie wystąpił kwartet przy akompaniamencie pchor. B . . . oraz kolega Z . . . jako solista-skrzypek, gorąco oklaskiwany za wiązankę pieśni żołnierskich i kujawiaka. Bardzo wzruszyła naszą brać żołnierską deklamacja kpr. S . . " Bohaterska Warszawa " i " Przysięga." Duże wrażenie wywarła na słuchaczy deklamacja " Reduty Ordona," wykonana przepięknie przez kpr. K . . .

Członek Rady Narodowej, mec. Banaczyk, zwrócił się na sali z krótkim przemówieniem do żołnierzy naszego Dyonu, w którym wyraził radość, że trafił na tak pięknie przygotowaną uroczystość w tak trudnych warunkach naszego bytowania, co jest wyrazem tężyzny i niespożytej energii naszego żołnierza. Wieczór zakończyła " Warszawianka " odśpiewana chóralnie ze wzruszeniem i zapałem.

R. G.

Z inicjatywy **WOJSKOWEGO BIURA PROPAGANDY I OŚWIATY** ukazały się

KOLĘDY

(18 kolęd z nutami)

Cena 6d.

M. I. KOLIN (Publishers), LTD-, 36, Great Russell Street, London, W.C.I.

Z TEKI ANTYKA

JOHN I GWENDOLINA BEDĄ MIELI SYNA

Tej to Gwiazdki, pod choinką,
zasiadł Johnik z Gwendolinką
i powiada jej:—Jedyna,
kiedyż będziem mieli syna?

A kobitka, jak kobitka:
i fertyczna, i niebrzydka,
można mówić, że, cacana—
ale boi się bociana!

Więc on—sobie, ona—sobie:
że to bocian ją podziobie,
że się brzydnie, że figura . . .
Która tak nie mówi, która?—

/Trzeba dodać, moi złoci,
że oboje byli Szkoci,
a Polacy, co tam stali,
drzewkiem ich obdarowali.

Nauczyli ich też, dranie,
pogaduszki o bocianie—
no, i widać nie na marne
szły te wpływy kulturalne/.

Johnik by przekonać rad ją—
wtem z Londynu mówi radio
i ogłasza należycie
wielkie włoskie skórobicie.

Wtedy Johnik z tęgą miną
zapowiada:—Gwendolino!
Kiedy Musso już jest gotów,
trzeba będzie dużo Szkotów!

Weź że, żono, na rozsądek:
kto wprowadzić ma porządek
tu i tu, i tam, i wszędzie,
jeśli Szkotów mało będzie?

Zrozumiała Gwendolina;
ma powiększyć się rodzina.
No, a teraz sprawa druga:
czyja głównie w tym zasługa?

Mussa—że mu szło na opak,
Johna—że pojętny chłopak,
ale—żebyście wiedzieli—
polskich też nauczycieli!

WŁOCH I ABISYNKA

Gdzieś daleczko, ponad rzeczką,
wolno płynącą,
siedział Włoch z Abisyneczką.
Było gorąco . . .

I tłumaczył jej, tłumaczył,
jak to z Führerem
Duce ziemię przeinaczył;
reszta jest zerem.

Roma, Goty, Hotentoty—
jedna forteca:
czołgi, działa, samoloty . . .
O, Giovinezza!

Z całej hecy tylko Grecy
nie delikatnie
bagnet nam wbijają w plecy—
lecz wpadną w matnię! . . .

Zdjął kurteczkę, wziął chusteczkę,
nią się wachlował,
objął w pół Abisyneczk^
i pocałował.

Wtym coś błysło, ogniem trysło,
zleciało z góry . . .
Zanim przyszedł Włoch do zmysłów,
miał w kurtce dziury!

Racja, racja, że awiacja—
no, ale nie ta . . .
Chytra jest brytyjska nacja,
o, maladetta! . . .

Oj, ucieczka! i w porteczkach
tragedia cała . . .
Śmiała się Abisyneczka
i nie płakała.

P.P. Adam Bunsch, Julian Ejsmond, Karol Szpajzer, Jan de Grotte, Henryk Wojtecki, rotmistrz Szumański, Jakub Zygmunt Bujak, są proszeni o przesłanie adresów do "Polski Walczącej."

P. Jan Śliwa ma w redakcji list od krewnych w Stanach Zjednoczonych.

SPIS RZECZY:

Następny noworoczny numer "Polski Walczącej," o powiększonej objętości (12 stron) ukaże się z datą 4 stycznia 1941.

ŻEBYM BYŁ FÜHREREM

Żebym był Führerem,
tobym zapamiętał,
że z początku laba,
a na końcu mięta.

Mięta, potym miętko,
będzie mięcej z czasem,
jak do kryminału
powiodą ciupasem.

A w tym kryminale
będzie Mussolini,
póki się nareszcie
i nie zastalini.

Jak se we trzech siędą,
szkoda kużde słówko,
bo im się nie zjawi
frajerka z wałówką.

Co najwyżej będzie
żądał naród cały,
żeby im sprawiano
gestapowskie wały.

Żeby im dawano
fernepiksu z serem . . .
To bym se pomyślał,
żebym był Führerem.

Nasi mali przyjaciele

Skladajcie życzenia swiąteczne waszym przyjaciolom Anglikom!
nakładem wydawnicta M. I. KOLIN (Publishers) ukazały się
KARTY ŚWIĄTECZNE
z trójbarwnemi rysunkami Ireny Łukaszewicz
Cena **4d.**
Do nabycia:
M. I. KOLIN (Publishers), LTD.
20, Bloomsbury Street, LONDON, W.C.1 28, King Edward Street, PERTH, Scotland

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel. MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.

GDBYŚ TY MI

Gdybyś ty mi, jak ja tobie—
bylibyśmy braćmi sobie,
lecz ty do mnie zaraz z kijem,
no—więc w końcu się pobijem.

To nie warte funta kłaków
i nie godne jest Polaków,
przed którymi jedna droga:
ramię w ramię—i bić wroga!

ŚLADAMI KRAKA

Kiedy Krak nasz zabił smoka,
naród się dziwował,
a Krak tam, gdzie schła posoka,
Kraków wybudował.

Ot na Nowy Rok życzenie
wspólne dla Polaków:
nim ten rok odejdzie w cienie,
odniemczymy Kraków.

ŻYCZENIA DLA FÜHRERÓW

Życzymy wszyscy imć Adolfowi,
gdy z polityką ciężko się głowi,
żeby podrapał się w potylicę,
bo wkrótce drapnie i w polityce.

Życzymy wszyscy panu Benito,
kiedy nie wiedzie mu się to i to,
by się nie drapał po potylicy
bo go, gdzie trzeba, drapią Anglicy.

Antyk

OSTATNIA RÓŻNICA

Adolf naśladuje
wciąż Napoleona
nie wyrówna jednak
nigdy tej różnicy:
Cesarz na Helenie
żywota dokonał,
Adolf zaś dokona
go na szubienicy!

(Z "Osy," polskiego pisma humorystycznego w Ameryce)

MATEMATYKA WŁOSKA

(Komunikat wojenny) "Rzym. Dziś o świcie 20 samolotów angielskich ukazało się nad Turynem. Nasza artyleria zenitowa zestrzeliła 16 maszyn, nasi dzielni lotnicy strącili ich 8 nad miastem, a 6 później, w czasie pościgu. Skutkiem panicznej ucieczki, 4 dalsze angielskie bombowce zderzyły się z sobą i spadły w płomieniach, a 3 musiały lądować z braku gazoliny. Tak więc zdołało wrócić do Anglii zaledwie 17 maszyn."

(Ostatnie dwie cyfry mogą być istotnie prawdziwe)

(Z "Osy")

KSIĄŻKI NADESŁANE

Mały modlitewnik

Mała poręczna książeczka (72 str.), wydana przez Catholic Truth Society, 38-40, Eccleston Square, London, S.W.1. Cena 4 pensy, oprawne w skórę 8 pensów.

Polish Christmas Carols—Najpiękniejsze polskie kolędy

Ułożył i zdobił Adam Harasowski Wydawnictwo "Wiadomości Polskich" w Glasgowie, 30, Kingsborough Gardens, Glasgow, W.2.

Kazimierz Podgórski: W cieniu skrzydeł.

Tom poezyj żołnierza lotnika, wydany nakładem dziennika lotniczego "Wiadomości ze Świata," zdobiony przez Jerzego Faczyńskiego. Stron 80 odbitych na cyklostylu.

Mieczysław Marczak: My . .

Tom wierszy poety-żołnierza, wyrażający nastroje, uczucia i refleksje jednego z tych, którzy noszą mundur Armii Polskiej bijącej się za wolność we Francji i Anglii.

Wojciech Dłużewski: Droga do Polski. Dyskusje nad wizją Odrodzonej Polski i drogami do Niej wiodącymi.

Książka wydana własnym nakładem autora. Stron. 54. Cena 2 sh. Skład główny: F. Mildner, 6, Herbal Hill, London, E.C.1.

NUMER ŚWIĄTECZNY "WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA"

W najbliższych dniach ukaże się świąteczny number "Wiadomości ze Świata" codziennego pisma lotników, w obszernym opracowaniu z ilustracjami. Wydanie polskie i angielskie, to ostatnie będzie miłym podarunkiem dla naszych przyjaciół angielskich. Cena egzemplarza 1 sh. Zamówienia prosimy kierować do administracji "Wiadomości ze Świata" (Blackpool, Lytham Road).